

PARADA



ROK II

NIEDZIELA, 23 STYCZNIA 1944 R.
SUNDAY, JANUARY 23, 1944

Nr 2 (21)

CENA EGZ.: w Egipcie P.T. 2, w Palestynie 25 mils., w Iraku 30 fils., w Iranie 3,5 Rls., w Anglii 6 d., w Afryce Wsch. 6 d.



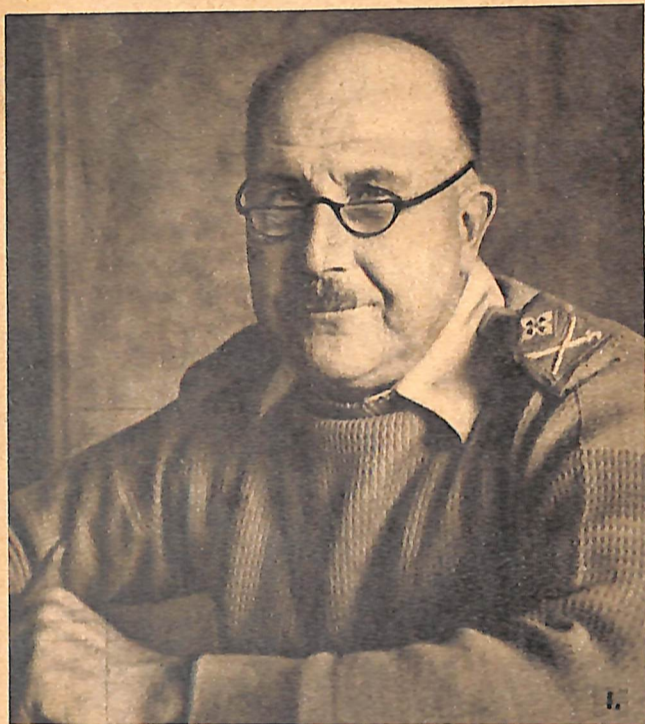
2.



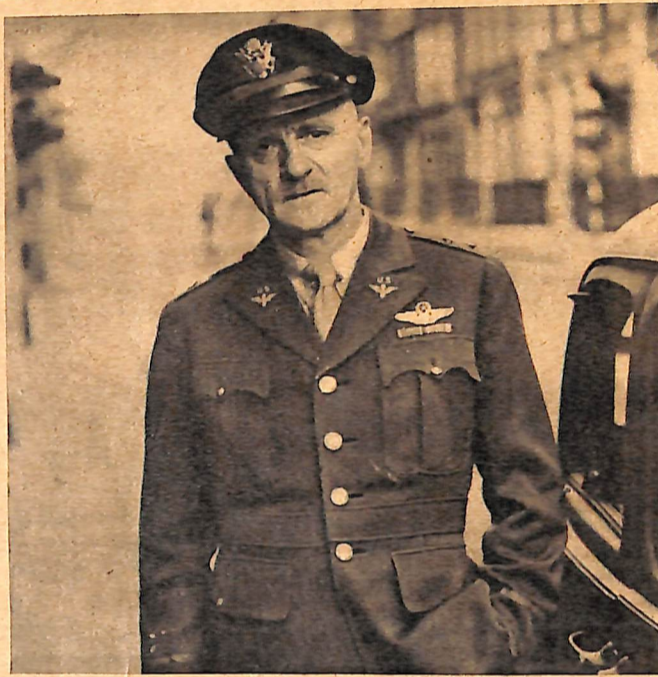
1.



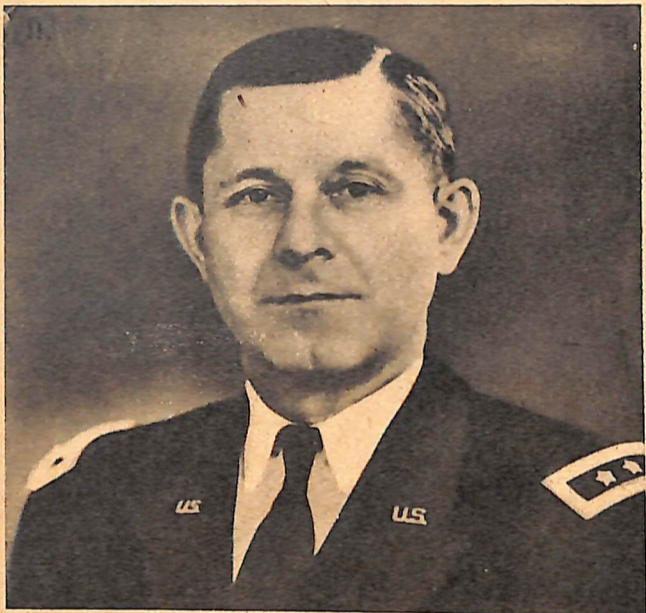
3.



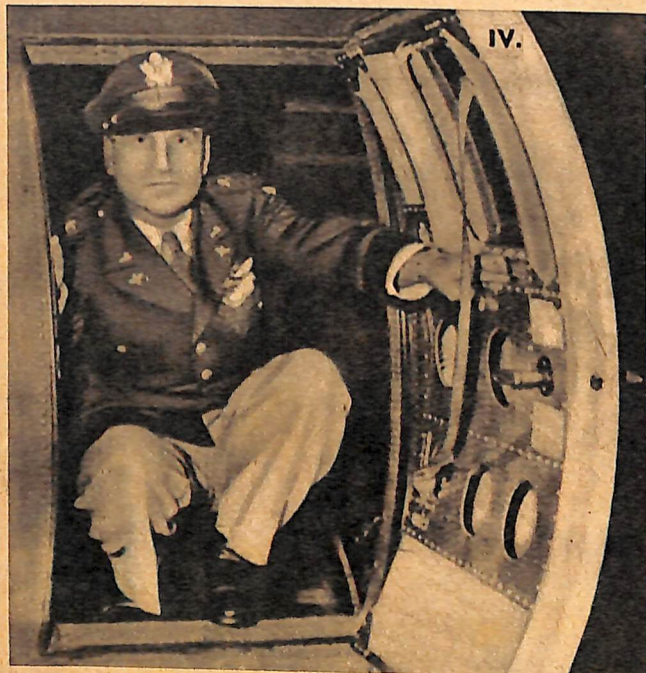
1.



4.



III.



IV.



V.



VI.

WODZOWIE ARMIJ INWAZYJNYCH

1. Generał Dwight David Eisenhower, Amerykanin, głównodowodzący sojuszniczymi armiami inwazyjnymi dla oswobodzenia Europy. Mianowany został na to stanowisko w 13 miesięcy po wylądowaniu w Afryce francuskiej, na czele wojsk amerykańskich. 53-letni generał jest od 28 lat żołnierzem. Podczas pierwszej wojny światowej służył w korpusie czołgów.

2. Brytyjski marszałek lotnictwa Sir Arthur Tedder był szefem sojuszniczych sił powietrznych na terenie operacyjnym Morza Śródziemnego, teraz jest zastępcą generała Eisenhowera w dowództwie nad inwazyjnymi siłami lotniczymi, lądowymi i morskimi. Liczy lat 53, ukończył Cambridge, z dyplomem nauk historycznych. Nominacja ta podkreśla znaczenie lotnictwa w przewidzianych operacjach kombinowanych, marszałek Sir Arthur Tedder reprezentuje bowiem czynnik specjalnego doświadczenia we współpracy lotnictwa, marynarki i sił lądowych. Jest on wynalazcą tzw. „dywanu Teddera”, systemu bombardowania, przy którym przestrzeń trafiona bombą sąsiaduje z innym bombardowanym odcinkiem.

3. Generał Sir Bernard Montgomery, lat 56, dotychczasowy dowódca Ósmej Armii jest obecnie dowódcą wojsk brytyjskich pod rozkazami generała Eisenhowera.

4. 52-letni generał Carl Spaatz dowodzi amerykańskim lotnictwem bombardującym, które działa przeciw Niemcom. Był on jednym z pierwszych lotników amerykańskich, działających w tej wojnie na europejskim teatrze operacyjnym.

I. Generał brytyjski Sir H. Maitland Wilson, głównodowodzący wojskami sojuszniczymi w basenie Morza Śródziemnego. Liczy lat 62.

II. Generał amerykański Jacob L. Devers dowodzi amerykańskimi wojskami w basenie operacyjnym Morza Śródziemnego i jest zastępcą głównodowodzącego generała Wilsona.

III. 52-letni generał angielski Sir Harold Alexander objął dowództwo armii sojuszniczych we Włoszech.

IV. Generał amerykański Eaker, lat 46, dowodzi sojuszniczym lotnictwem w basenie Morza Śródziemnego. Jest znakomitym pilotem.

V. Generał Bernard Paget, lat 55, dowódca wojsk brytyjskich na Środkowym Wschodzie.

VI. Generał amerykański Walter Bedell Smith, szef sztabu generała Eisenhowera.

Żołnierz polski na kontynencie



Komandos noszą znak współdziałania trzech rodzajów broni — powietrznej, morskiej i lądowej, i w ramach „Combined Operations Command” tworzą oddzielne jednostki lotnictwa, marynarki i piechoty. Na rękawie noszą znak swój — orła lotniczego, karabin i kotwicę, a w sercu, w wielkim sercu — pogardę śmierci.

Żołnierz-komandos musi być równie zdrowy i silny, jak bezwzględny i odważny, równie szybki, jak rozważny. Komandos odznacza się świetną pamięcią, orientacją, sprytem życiowym i zaradnością. Teren nieznany i ludzie, klimat, rzeczy przewidziane i niespodziewane, zły los — wszystko to musi on opanować w stopniu doskonałym, dalekim od przeciętności, która w twardej walce nie da mu żadnych szans. Bo komandos jest wybranym żołnierzem, wybranym charakterem. Jest indywidualnością. Operuje w zespole tak samo dobrze, jak w pojedynkę. Jest za pan brat ze śmiercią, żywi go wielka przygoda i nie

odstępuje ryzyko największe, jakie tylko przypaść może żołnierzowi. Komandos jest tym myśliwym, który sam staje się zwierzyną. Szczuje i sam jest szczuty. Jak zagończyk polskich wojen podjazdowych. Jak — Hubala.

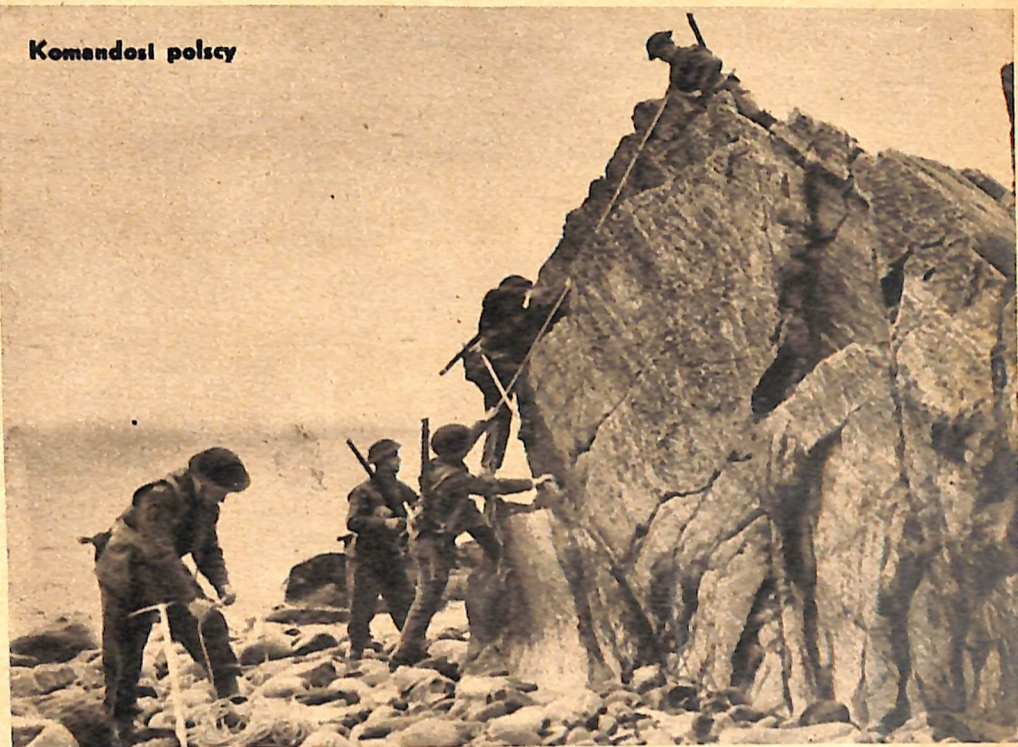
O Hubali myślę czytając, że komandos biorą udział w walkach na froncie włoskim. O Hubali-Dobrzańskim.

5 października 1939 roku po zwycięskich walkach z wojskami niemieckimi i sowieckimi kapitulował generał Kleeberg, ostatni walczący generał kampanii wrześniowej. Już w tym samym miesiącu podjął walkę z Niemcami major Hubala-Dobrzański, pierwszy komandos tej wojny. Pierwszy!

Kawaleryjski oddział majora działał głównie w okolicach gór Świętokrzyskich. Napadał na transporty wojskowe, stacje kolejowe, niszczył tory, przeprowadzał ekspedycje karne, staczał również większe bitwy z Niemcami. Był ręką bezlitośnie karzącą i nieuchwytną, jeńców nie brał. Hubalczyki zdobyli sobie sławę, a w polskim oporze zbrojnym odegrali ważną rolę.

30 kwietnia 1940 roku zginął w walce major Hubala-Dobrzański, wielki zagończyk, Kmicic współczesny, dowódca tego pierwszego oddziału komandosów, jakim niewątpliwie byli Hubalczyki. Nie pozostali bez następców. Polskie siły zbrojne w Kraju, zorganizowane i działające planowo, są dzisiaj największymi oddziałami, operującymi w sposób typowy dla komandosów. Jest jedna wielka różnica między tymi „komandosami” w Kraju,

Komandos polscy



a formacjami organizowanymi w państwach sojuszniczych, ale i ona przemawia na rzecz żołnierzy Polski Podziemnej: nieporównanie gorzej uzbrojone i wspomagane szkoliły się i szkoliły dopiero w walce, w potwornym cieniu szubienicy, w obliczu ryzyka nie śmierci żołnierskiej lub niewoli, lecz męki. A walczą już piąty rok.

Dlatego o nich przede wszystkim, o Kraju myślimy dzisiaj, kiedy znakomicie wyszkoleni komandos polscy walczą we Włoszech. Donoszący o tym telegram jest równie krótki, jak wielkie ma znaczenie, jak wielki oddźwięk budzić musi w Kraju. Od kapitulacji Francji żołnierze polscy stanęli znów na kontynencie europejskim, znów walczą na ziemi tej Europy, której wierny-

mi są synami od wieków. Historia nie po raz pierwszy się powtarza: upragniony marsz do Polski stał się rzeczywistością, rozpoczął się na ziemi włoskiej, na szlaku Legionów Dąbrowskiego. Rozpoczęli go ci, którzy pierwsi broń podjęli po Wrześniu — zagończyki, komandos.

Ze wszystkich chyba formacji najbliżsi nam są komandos. Ich żołnierska filozofia wściekłego ryzyka, największej pogardy śmierci, wysiłku i ofiarności jest przecież naszą polską filozofią tej wojny, od jej pierwszej, tak samotnej chwili. Walczyliśmy. Bijemy się teraz. Będziemy się bili! Jasna jest dla nas oczywistość sprawy polskiej, wielkości i pierwszeństwa naszego wkładu wojennego. Ale oczywistość jej dla innych jest tylko jednym z naszych złudzeń. Zwiększać tę oczywistość, a zmniejszać nasze złudzenie pozwala przede wszystkim trud żołnierza polskiego.

Komandos polscy walczą we Włoszech. Muszą być i tam. Bo jest pewne, że w rozrachunku ostatecznym krew żołnierska mieć musi jednak swą najwyższą cenę. Możemy być w trudnych sytuacjach politycznych, ale bez tej polskiej filozofii „komandos” nie byłoby nas wcale. Tadeusz Pniewski

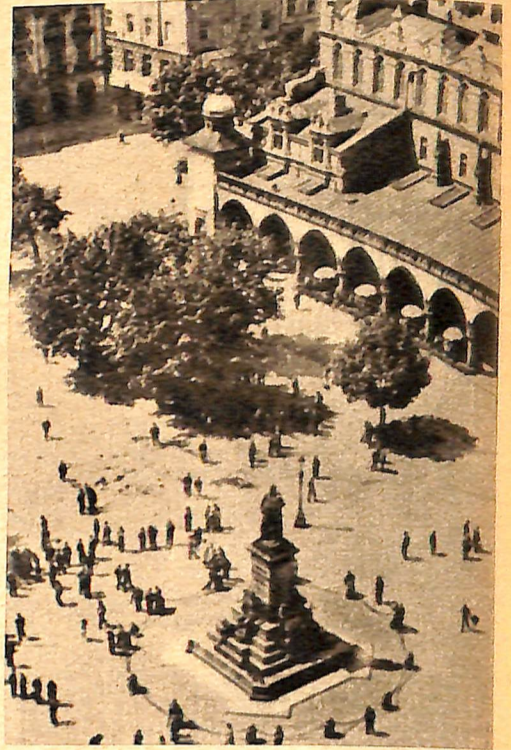


NASZA OKŁADKA
Pieluchota morska U. S. A. w akcji desantowej na Południowym Pacyfiku
Fot.: U. S. Office of War Information

od *National Gallery*
do *Sukiennic*



Galeria Narodowa w Londynie przy Trafalgar Square



Pomnik Mickiewicza w Krakowie został zniszczony przez Niemców



Przepiękny fragment, wywiezionego przez Niemców, arcydzieła Wita Stwosza w kościele Mariackim w Krakowie

Przykład wandalizmu niemieckiego: okupanci wywożą z Warszawy pomnik Chopina, przeznaczony na złom



Zamek królewski w Warszawie przed Wrześniem 1939

W sercu Londynu, przy Trafalgar Square, mieści się jedna z sław Anglii — National Gallery — będąca dla mieszkańców wysp brytyjskich tym, czym dla Polaków jest galeria narodowa w krakowskich Sukiennicach.

W tej sławnej londyńskiej galerii, której front patrzy na wysmukłą kolumnę zwycięzcy w bitwie pod Trafalgarem, Nelsona, na czas wojny dzieła sztuki usunięte zostały w bezpieczne miejsce. Nie znaczy to jednak, żeby puste sale National Gallery były w czasie wojny bezczynne. Wewnątrz gmachu pilnie obradują różne organizacje angielskie i międzynarodowe, które pracują nad sposobami odbudowy kultury w krajach zniszczonych wojną oraz przygotowują nowe drogi zbliżenia narodów w zakresie sztuk pięknych.

Niedawno jedna z takich narad dała plon, który rozejdzie się napewno echem po całym polskim uchodźstwie. Oto groźno angielskich miłośników sztuki, poruszone do głębi wiadomościami z Polski o rozmiarach zniszczenia wojennego w naszym Kraju, a zwłaszcza bezprzykładnym rabunkiem polskich dzieł sztuki przez Niemców, postanowiło przyjąć Polskę z pomocą. I w tym celu wybrało z pośród galerii brytyjskich cenną kolekcję obrazów mistrzów angielskich i ofiarowało je Rządowi Polskiemu w Londynie. Intencją ofiarodawców było położyć „kamień węgielny” pod przyszły dział angielski w odrodzonym po wojnie Muzeum Narodowym Rzplitej, jednocześnie dając wyraz przyjaźni Anglii dla Polski.

Piękny ten dar naszych gospodarzy nad Tamizą jest tylko jednym z objawów rosnącego w Anglii zrozumienia roli Polski, jako bastionu kultury w Europie

środkowo-wschodniej. Na gruncie tej samej „National Gallery” rodzi się dzisiaj odbudowa powojenna narodowych muzeów w krajach alianckich, które padły ofiarą brutalnego rabunku ze strony okupantów niemieckich. Jak odzyskać od Niemców wywiezione przez nich skarby po wojnie — oto pytanie, na które odpowiedź mają dać delegaci krajów sojusznicych, pracujący pod przewodnictwem W. Brytanii w opustoszałych salach National Gallery i gromadzący materiał. Zagadnienie nie jest łatwe, gdyż Niemcy zrabowane z Polski, Belgii, Czechosłowacji itd. dzieła sztuki porozmieszczały w miejscach ukrytych i nie będą się spieszyć z wydaniem ich Aliantom. Poza tym rozmiary rabunku przez Niemców w krajach okupowanych są tak olbrzymie, iż potrzeba będzie wielkiego aparatu specjalistów, zajmującego się klasyfikowaniem odnalezionych przedmiotów.

Zadane z państw sojusznicych nie było przedmiotem grabieży tak gruntownej i bezwstydną ze strony okupanta niemieckiego, jak Polska. Nie dość, że Polska była terenem działań wojennych, które w wielu stronach Kraju wyrządziły dotkliwe szkody w architekturze i zniszczyły bezpowrotnie szereg miejsc pamiętkowych. W toku działań nieprzyjaciela szereg najpiękniejszych gmachów w stolicy Polski legło w gruzach i z przeszło 20 tysięcy budynków Warszawy, które istniały w 1939 roku, 10.126, czyli prawie połowa, uległa zdemolowaniu.

Jednak Niemcy nie poprzestali na tych swoich „sukcesach”. Rychło się okazało, że okupacja pod ciężką ręką oprawcy hitlerowskiego jest dla Kraju jeszcze silniejszym ciosem, niż krwawy plon wojny. Niemcy wypisali na czele swej polityki w Polsce hasło całkowitego zniszczenia



Piękna kolekcja monet polskich, zebrana przez króla Stanisława Augusta, padła również łupem Niemców w 1939 r. Pewien podróżnik angielski w r. 1782, pisze o tym zbiorze monet jako o jednej z największych osobliwości ówczesnej Warszawy

kultury polskiej i jej tysiącletnich śladów w postaci historycznych budynków, muzeów, szkół, kościołów i wszelkich innych instytucji, krzewiących wiedzę i postęp. Zaczęło się to od tego, że nadniszczony bombardowaniem stolicy Zamek warszawski, skazany został przez administrację niemiecką na rozbiórkę. Nie pomogły wystąpienia delegatów społeczeństwa stolicy, które gotowe było ponieść dodatkowe ofiary celem ratowania budowli przed zagładą. Propozycja patriotycznego obywatelstwa Warszawy została przez Niemców brutalnie odrzucona. Rzemieślników polskich nie dopuszczono, gmach otoczony został wojskiem niemieckim i zaczęto powoli rozbiórkę. Dziś tylko resztki murów pozostały po pięknym ongiś Zamku warszawskim. Nie ma Polaka, któryby nie zaciskał pięści na ten bezprzykładny wandalizm niemiecki, pozbawiający Polskę jednego z najbardziej pamiątkowych gmachów, zarazem pomnik kultury polskiej XVIII wieku.

Co spotkało Warszawę, miało kolejno spotkać wszystkie miasta polskie. Kraków stał się szczególnie bogatym łupem Niemców. Przede wszystkim słynny ołtarz mariacki Wita Stwosza — perła sztuki schyłku średniowiecza — wyjęty został ze swej pięknej oprawy, jaką od 400 lat stanowiła świątynia gotycka N. P. Marii, i zabrany bezceremonialnie do Berlina. Muzeum Czartoryskich utraciło wszystkie cenniejsze obrazy, opustoszały również Sukiennice, z których Niemcy zabrali wszystkie umieszczone tam dzieła sztuki. Skarbiec wawelski okradziono także, a część mebli Zamku wawelskiego zabrał gubernator Franck do swego prywatnego mieszkania, pozwalając rozkradać również inne przedmioty swym funkcjonariuszom i oficerom armii niemieckiej. Pomnik Kościuszki na Wawelu rozebrano. Zabrano na stop Dzwon Zygmunta. Mickiewicz już nie zdobi Rynku Krakowskiego. Pomnik Grunwaldzki żołnierze niemieccy wysadzili dynamitem.

Wandalska robota najeźdźców niemieckich szła tym samym torem i w innych miastach Polski. Prastara bazylika w Gnieźnie, miejsce grobu św. Wojciecha i siedziba prymasów, straciła cały boga-

ty skarbiec, również katedra w Poznaniu splądrowana została bezlitośnie przez Niemców. W Poznaniu rozbili Niemcy pomniki — Mickiewicza, Kościuszki, Chopina, Moniuszki, Marcinkowskiego, pomnik Wdzięczności, oraz pomnik Ułanów, zdejmując także z wieży ratuszowej pamiątkowego orła, którego w czasach po rozbiorowych nie wazyły się ruszyć nawet władze pruskie.

Nie podobna wyliczyć wszystkich skarbów polskiej kultury, jakie padły ofiarą brutalnej polityki Niemiec w ciągu ostatnich czterech lat. Księgozbiory popalono, albo wywieziono. Cenne laboratoria naukowe powędrowały do uniwersytetów w Rzeszy. Prywatne kolekcje bądź pokradzione zostały przez garnizony niemieckie, bądź poszły zagranicę na aukcje, zorganizowane przez Niemców dla zasilenia w dewizy skarbu Rzeszy. „Polska ma się stać duchową pustynią” — powiedział wielkorządca Hitlera, mieszkający dziś na Zamku wawelskim, a niemiecka dokładność, konsekwencja i gruntowność robią swoje, żeby Polskę zostawić ogołoconą z owoców pracy pokoleń, które żyły tu z dziada i pradziada.

Trzeba będzie wielu wysiłków, żeby odrobić te niezmiernie straty. Społeczeństwo w Kraju czeka na chwilę wyswobodzenia, żeby odpłacić się Niemcom za ich niszczycielską robotę. W międzyczasie społeczeństwo polskie na uchodźstwie czyni co w jego mocy, żeby na terenie międzynarodowym w Londynie przygotować zwrot ukradzionego przez Niemców mienia polskiego.

Portret króla Jana III Sobieskiego, przez 150 lat w posiadaniu angielskiej rodziny Clementson, ofiarowany został Rządowi Polskiemu dla przyszłej polskiej Galerii Narodowej

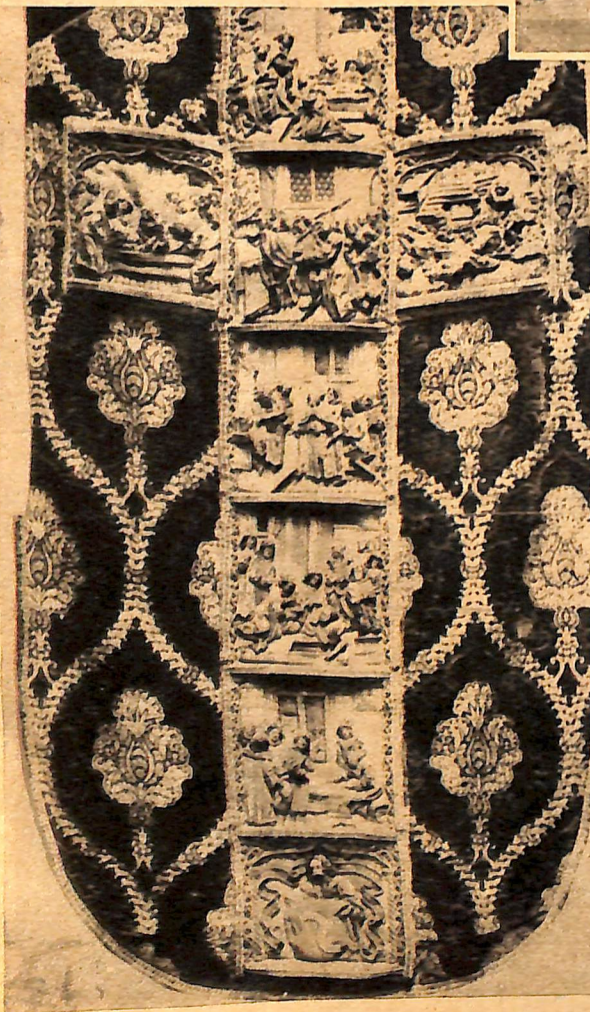
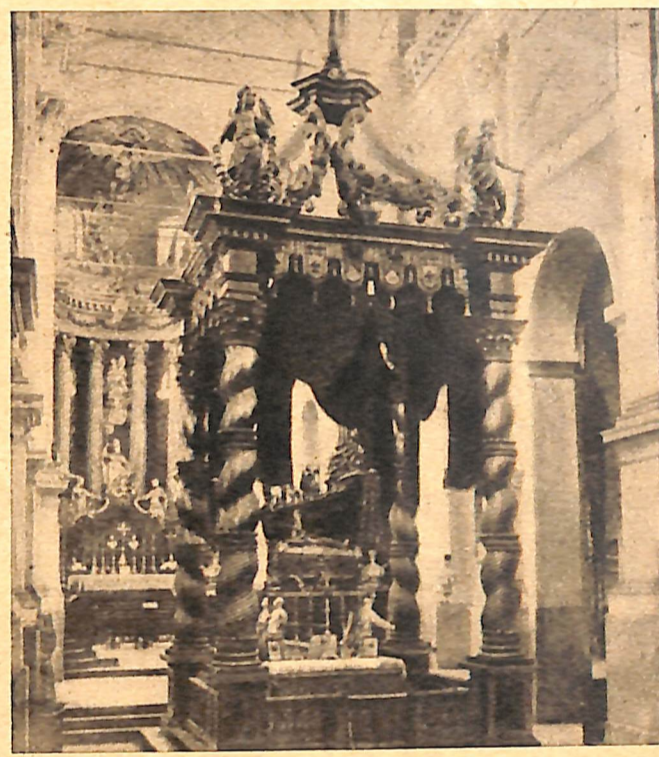
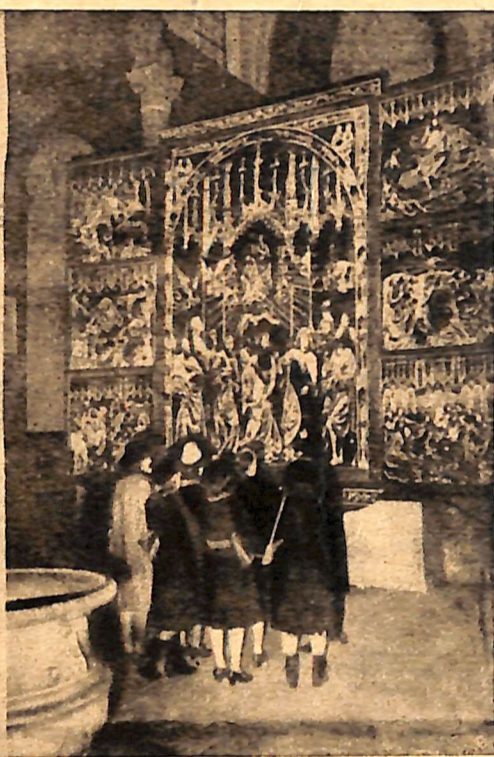


Dokumentem akcji rabunkowej Niemców w Polsce jest wycinek z gazety niemieckiej, przedstawiający słynny ołtarz Wita Stwosza, wywieziony z Krakowa do muzeum w Berlinie. Widać tu wyraźnie, jak bardzo ucierpiał ołtarz wskutek rozebrania i pozbawienia go wieżyczek gotyckich u szczytu oraz mensy

Wnętrze katedry prymasowskiej w Gnieźnie. Skarb katedralny z początku wojny został wywieziony w Lubelskie. Niemcy wykryli miejsce schowania i splądrowali cały skarbiec, m. in. drogocenne kielichy, monstrancje, stare szaty ozdobione cennymi kamieniami itp. Podobnie zostały zrabowane skarbcie innych katedr polskich

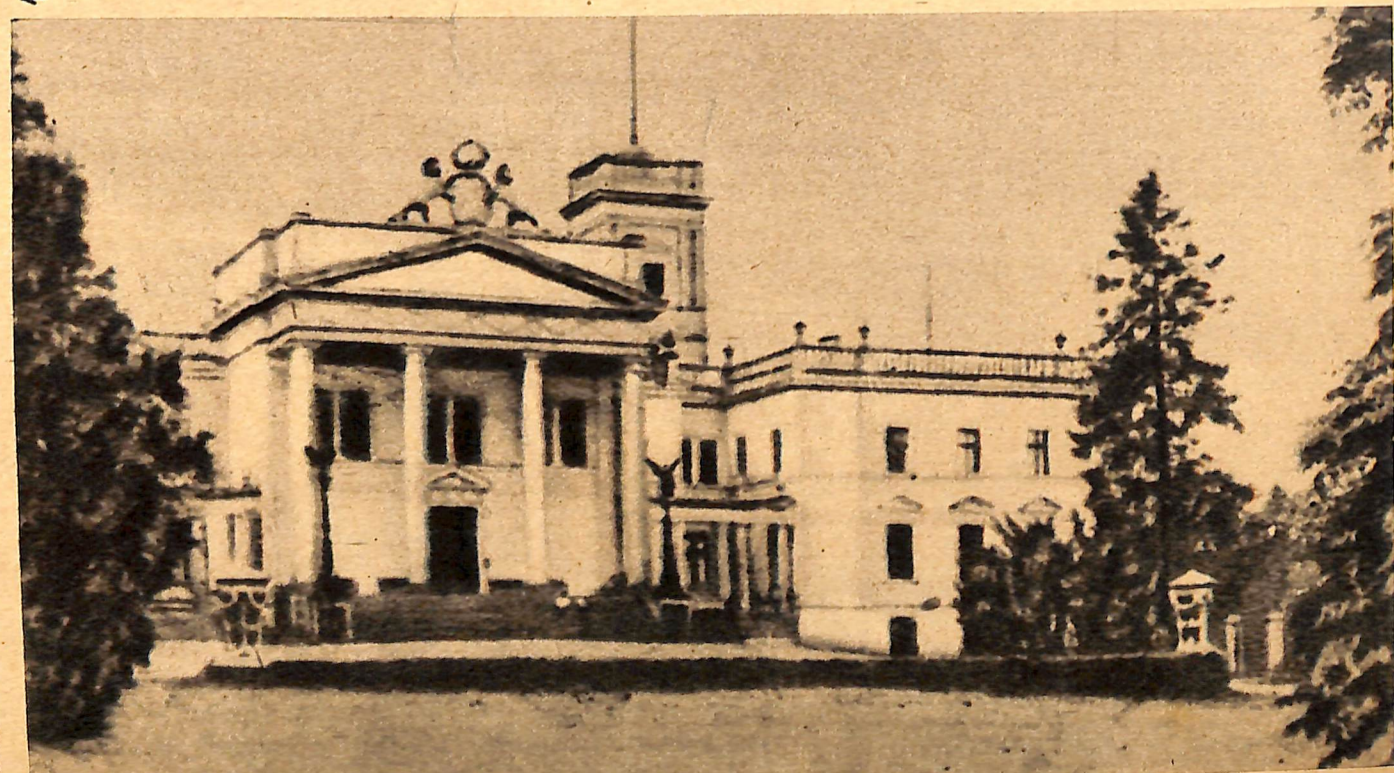


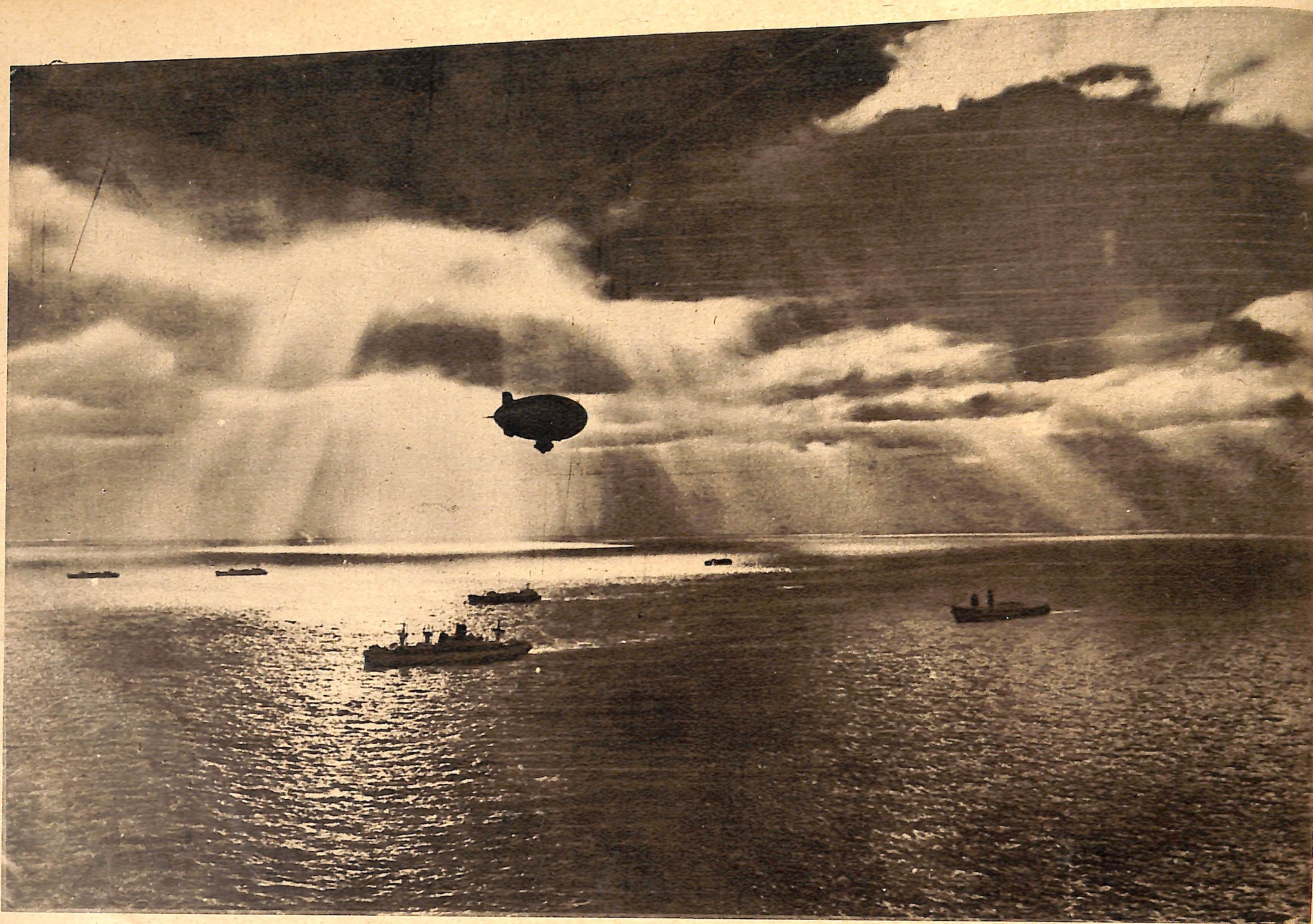
Wycinek z gazety niemieckiej przedstawiający słynny ołtarz Wita Stwosza, wywieziony z Krakowa do muzeum w Berlinie.



W zrabowanym przez Niemców skarbcu wawelskim znajdowała się ta wspaniała dalmatyka, arcydzieło sztuki kościelnej z końca XV wieku

Ofiarą akcji rabunkowej Niemców padła także wielka kolekcja sztuki w Miłostawiu (Wielkopolska). Cenne dzieła malarstwa polskiego, zbiory rzadkich druków, manuskrypty i oprawy książkowe zostały wywiezione do Niemiec, a częściowo rozsprzedane na aukcjach publicznych w krajach neutralnych. Z ziem polskich pod tym względem najwięcej ucierpiała Wielkopolska





Sterowiec patroluje nad płynącym w nocy konwojem

Płyniemy w konwoju

Port załadowania. Słoneczny poranek zimowy, w powietrzu zapach morza i spalin, mewy wydierają się, patrząc oczami podobnymi do porcelanowych kulek. Po sprawdzeniu dokumentów wsiadamy na kuter i płyniemy do statku, z którym złączyć mamy nasze losy na kilka tygodni. W oddali widać brudnoszare statki transportowe. Zaczynamy zgadywać, który przypadnie nam w udziale. Wybieram sobie duży motorowiec o górnym pokładzie najeżonym wieżami przeciwlotniczymi. Wzbudza zaufanie i wygląda gościnnie. Kuter bierze kurs na wybrany przeze mnie statek. Dobra wróżba!

Na statku witają nas napisy, podkreślające konieczność zachowania tajemnicy i zięjące zakazami. „Dont be a B. F.” — wołają bezceremonialnie. Czuję się dotknięty tą bezpośredniością. Przydział kabin. 38 C. Zanim mogę zastanowić się nad rozszyfrowaniem tego symbolu, uczynny steward poucza: „C deck, port”. Port portem — myślę — ale gdzie jest

głowa, a gdzie ogon? I tę zagadkę rozwiązuje przewidująca organizacja brytyjska, umieszczając na tabliczkach napisy „Port” i „Starboard”. Bez trudu odnajduję kabinę. Wcale wygodna. Przedwojennemu dwuosobowemu „stateroom” z własną łazienką dodano obecnie dwa piętrowe łóżka i jedno pościele na podłodze. Proporcja wyrażona równaniem: wygodą z czasów pokoju ma się do konieczności wojennej jak 2 do 7.

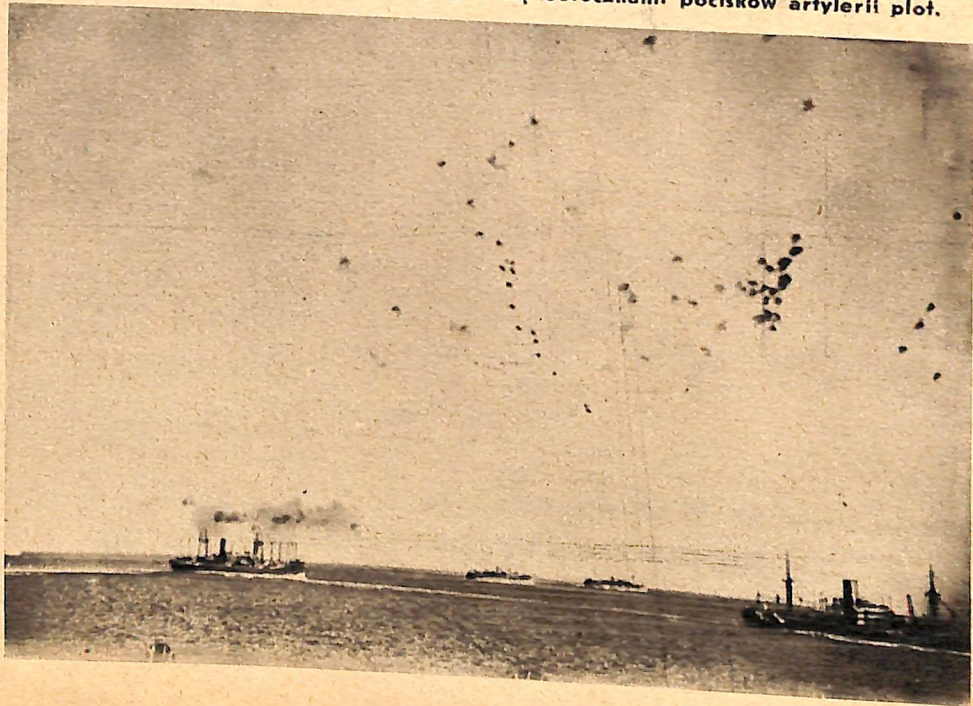
Po kąpieli i zaspokojeniu głodu ruszamy na górny pokład, gdzie oglądamy z bliska wieże przeciwlotnicze. Jeszcze wtedy nie wiemy w jakim stopniu nasze dalsze losy zależeć będą od sprawności obsługi i sprzętu przeciwlotniczego.

Przydział do łódek i tratw ratowniczych. Zapoznanie się z sygnałami alarmowymi. Przydział służb i stanowisk bojowych. Wyznaczenie miejsc w jadalni i trzech zmian wydawania posiłków. Nauka wdziewania pasów ratunkowych. Podają nam godziny, w których czynny będzie sklep i „suchy” bar. Przez radio



Balony zaporowe nad konwojem

Konwój podczas nalotu. Niebo pokrywa się obłoczkami pocisków artylerii plot.



nadają rozkazy i komunikaty. Ćwiczenia w zajmowaniu miejsc na wyznaczonych łodziach, alarmy próbne, przepisy dotyczące cenzury i wysyłki listów, nakazy i zakazy. Bezwzględna konieczność całkowitego zaciemnienia na morzu.

Tak mija pierwszy pracowity dzień na statku. Rano budzi nas słońce i pokrzykiwanie mew. Pierwsza myśl: płyniemy? Nie, jeszcze nie.

Pod wieczór ruszamy. Powoli przesuwa się brzeg. Światła sygnalizacyjne przybierają na natężeniu i bledną w oddali.

W księżycowej poświacie, kładącej się srebrnym pasem na tafli spokojnego morza, zanika krajobraz wyspy, na której przeżyliśmy trzy lata. Konwój formuje się i płynie bezszelestnie w jasną noc. Żegnaj Angli! Good-bye...

Dzień mija za dniem. Pogoda dopisuje. Atlantyk wita nas kołysaniem, które nie wszystkim na dobre wychodzi. Niektórzy jednak jedzą po dwa obiady, działając w imię rozumnie pojętego i z determinacją w życie wprowadzanego „salvage”. Po dwóch dniach uspokaja

się morze, blade twarze zaś nabierają kolorów i apetytu.

Posiłki, próbne alarmy, służby i spanie, spacer i czytanie, bridż i rozmowy, dzielą dzień na kratkę ustalonej rutyny życiowej. Powoli tracimy rachubę czasu, czas przestaje być czynnikiem, wpływającym na nasze codzienne życie. Tak się przynajmniej wydaje do pierwszego nalotu, kiedy zaczynamy interesować się intensywnie takimi bagatelkami, jak godziny wschodu i zachodu słońca, czas trwania zmroku, widzialność, zachmurzenie, kierunek wiatru, przypuszczalne położenie geograficzne i... czy będą dalsze naloty.

Nalot rozpoczyna się najbardziej prozajcznie. „Znowu ten przeklęty alarm próbny — myślimy spokojnie — udając się bez pośpiechu na stanowiska alarmowe. Ciszę przerywają strzały ciężkich dział przeciwlotniczych. Za chwilę słychać szum motorów. Nagle przemawiają lekkie działa p-łot, najpierw pojedynczo i urywkowo, potem w seriach coraz dłuższych. Już nie można rozróżnić

poszczególnych działek w tym ciągłym rechocie, coraz bardziej stężonym i zawziętym. Świst spadających bomb. Wybuchy bomb, warkot lekkich działek i głuchy, miarowy bas ciężkich. Warkot silników, oddalających się samolotów. I znów — cisza.

Rozumiem teraz, czym jest cisza. Nie jest ona stanem statycznym, a wyraźnie dynamicznym, opartym na kontraście. Coś jakby nagłe przejście z silnego światła do bezwzględnej ciemności. Czuję się wibracje, które dla ucha są jednak nieuchwytnie. Zawieszenie, napięcie... Wrażenia docierają do świadomości z opóźnieniem.

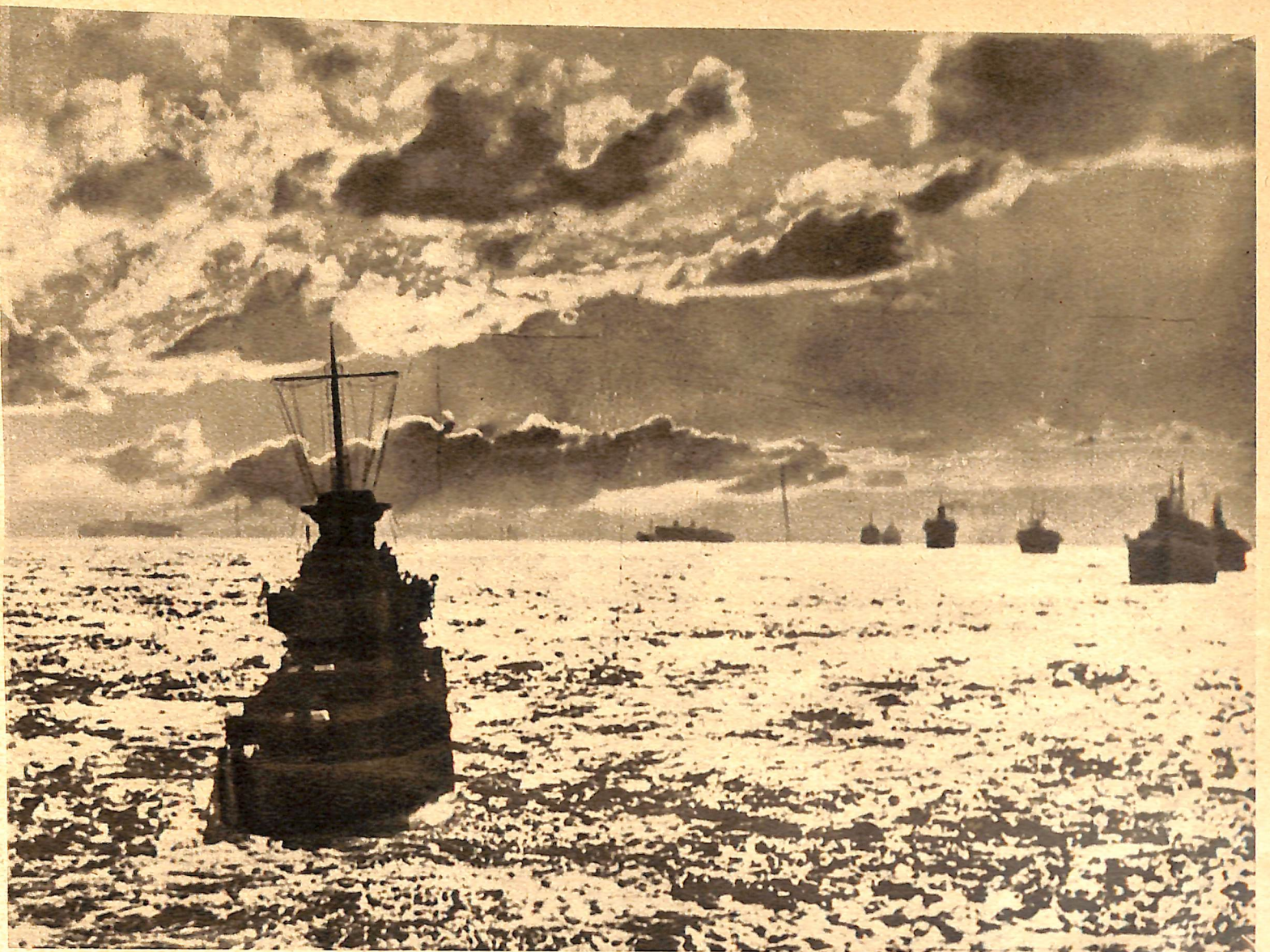
Nadlatuje druga fala, wtedy przejście z ciszy do zgiełku jest stopniowe. Powtarzają się te same czynniki składowe wrzawy, dochodzącej do szczytu nasilenia i potem, nagle, cisza! bezwzględna cisza, pełna bezdźwiękowych wibracji. Zdumienie, odrętwienie, które powoli mija. Wrażenia zaczynają dochodzić do świadomości.

Trzecia, czwarta, piąta fala nalotu. Tracimy już rachubę, którą falę przeżywamy. Zaczyna robić się ciemno. Wtem, nowy zgiełk przerywa ciszę, hałas który wyłamał się z ustalonego już prawa kolejności dźwięków. Lekkie działka, lecz jedynie z jednej strony statku, łączą się w zespolonym wysiłku. Długa seria, najdłuższa z dotychczas słyszanych, kończy się kilku wystrzałami z różnych działek. Plusk i — cisza.

To samoloty torpedujące naleciały na nasz statek pod kątem prostym do osi jego ruchu. Jedna torpeda minęła nas o 10 metrów, przechodząc przed dziobem statku. Lekkie działka zestrzeliły jeden z samolotów w chwili, gdy z odległości 250 metrów rozpoczynał rzucanie torped. Był to właśnie plusk, który poprzedził ciszę.

Ciemność przyjmuje konwój pod swe opiekuńcze skrzydła. W oddali maleje sylwetka płonącego statku...

Nalot był ciekawy pod względem taktycznym. Samoloty bombardujące miały związać naszą obronę przeciwlotniczą,



aby ułatwić nalot samolotom torpedującym. Konwój walczył z „Luftwaffe” przeszło godzinę, płynąc cały czas po kursie prowadzącym do celu podróży.

Nazajutrz słyszemy z głośników wyjątek z niemieckiego komunikatu: „Luftwaffe zaatakowała skutecznie nieprzyjacielski konwój w pobliżu... Zatopiono

sześć statków o łącznej pojemności około 135.000 ton, zniszczono dwa torpedowce i uszkodzono jeden krążownik. Luftwaffe strat nie poniosła”. W kilka godzin później komunikat z Londynu: „Silna formacja nieprzyjacielskiego lotnictwa zaatakowała jeden z naszych konwojów. Zestrzelono trzy samoloty nie-

przyjacielskie, dwa uszkodzono. Straty poniesione przez konwój były znikome”. Płyniemy dalej. Po kilku dniach, urozmaiconych jeszcze jednym nalotem, konwój nasz wpływa do portu przeznaczenia, portu Morza Śródziemnego.

Adam Kierski

Wędrowną szkoła Dywizji Karpackiej

Lekcja geografii. W słońcu, które grzeje, ale już nie pali, gromadka młodych żołnierzy. Jeden ręką podpiera sobie głowę i słucha wykładu nauczyciela, inni wpatrują się w otwarte atlasy, śledząc bieg myśli wykładowcy, jeszcze inni, jak w każdej klasie, z ciekawością rozglądają się dokoła, a jest i taki, co przystośnie plecami kolegi zapala papierosa...

W tej dziwnej klasie jest szczególnie łatwo o niewagę, nie ma ścian, drzwi, ani okien, z każdego punktu klasy, gdzieś na piaseczku, widać daleko, cały wielki obóz, jak na dłoni. Takich klas jest dużo w wędrownej szkole Dywizji Karpackiej.

Nie ma przesady w określeniu „wędrowną szkoła”. Niezależnie od specjalnego kursu dla żołnierzy gimnazjalnego i licealnego, który jednorazowo odbywa się w Palestynie, przy Dywizji Karpackiej czynne są stale kursy doszkolące, zastępujące w pełni na nazwę szkoły. W roku ub. na kursie dywizyjnym z zakresu gimnazjum zdawało egzaminy kilkuset żołnierzy. Uczniowie-żołnierze, niektórzy już z doświadczeniem bojowym, zgłaszają się ochotniczo i po zbadaniu wiadomości naogół szybko nadrabiają braki, wyniki z długiej nieraz przerwy w nauce. Chcą się uczyć i to decyduje, to, a nie trudne, choć dla nich, drugorzędne warunki obozowego, żołnierskiego życia i częstego zmieniania m. p. Temu statemu kursowi dostarczyły uczniów kursy czynne przedtem po oddziałach. Poza tym od czerwca ub. roku prowadzone są nieprzerwanie w oddziałach dywizji kursy szkoły powszechnej.

W tej szkole Karpackiej uczą wykwalifikowani nauczyciele, komisje egzaminacyjne są zatwierdzone przez Delegata Ministra Oświaty. Obok uczniów-kursistów zgłaszają się do egzaminów także eksterniści, którzy przygotowują się sami, w godzinach dostojnie ukra- dzionych własnemu odpoczynkowi.

Kiedy przychodzi rozkaz zmiany miejsca postoju, uczniowie i nauczyciele

wracają do swych oddziałów i szkoła zawiesza naukę. Na nowym m. p. nie wiele trzeba czasu, by otworzyć klasy. W wędrownej szkole Dywizji Karpackiej uczyć będą stale, w miarę możliwości wojennych. Ten młody żołnierz naszej armii nie rozstaje się z książką.

(t. s.)





STRATEGIA WOJNY I POKOJU NARODÓW SPRZYMIERZONYCH

Nim „Lancaster” wyruszy na lot operacyjny, personel ziemny przeprowadza około 400 prób, badając skomplikowaną maszynę bombowca



Nominacja marszałka lotnictwa S. Arthura Teddera na zastępcę naczelnego wodza armij inwazyjnych Sprzymierzonych wskazuje nie tylko na to, że planowana jest długofalowa ofensywa lotnicza, lecz przede wszystkim nominacja ta podkreśla rolę lotnictwa w przygotowanym decydującym ataku na kontynent. Charakterystyczną opinią w związku z tym wypowiedział generał Arnold, słowódca amerykańskich sił powietrznych. Jest on zdania, że pierwszym zadaniem lotnictwa Sprzymierzonych jest wykonać inwazję jak najbardziej oszczędną. Dobrze przygotowanie lotnicze może ogromnie wpłynąć na zmniejszenie strat armij inwazyjnych.

Jednym z zasadniczych celów strategii bombowej było niszczenie wrogo go lotnictwa myśliwskiego. Wchodzą tu w grę trzy fazy: niszczenie w powietrzu, na ziemi i niszczenie zakładów produkcyjnych. Znaczący przedmiot uważano, że od lipca ub. r. niemiecka produkcja myśliwców została zredukowana do 40 procent. „Luftwaffe” szanuje obecnie wyrażnie swój zapas myśliwców, koncentrując go na krytyczne momenty.

Drugim punktem w tej „polityce bombowej” jest niszczenie centrów przemysłowych istotnych dla potencjału wojennego wroga. Tego rodzaju bombardowanie wymaga naukowego planowania i świetnego wywiadu. Trzeba umieć odpowiedzieć na szereg ważnych pytań: jakie są minimalnie niezbędne cyfry produkcyjne wroga? Ile czasu potrzeba, aby zniszczyć dany obiekt fabryczny w takim stopniu, że nie będzie on produkował nawet owych minimów? Jakich trzeba sił lotniczych, aby dokonać tych niszczeń w odniesieniu do poszczególnych zakładów produkcyjnych nieprzyjaciela?

Z chwilą, gdy zdobyto się dane pozwalające na odpowiedź w wyżej wymienionych kwestiach — bombardowanie nie przestaje być serią niezwiązanych ze sobą wypadków lotniczych, a zmienia się w strategię, opartą na naukowo przygo-



Naciśnięcie guzika i bomba spada na cel

utowanym planie celowego zniszczenia przemysłu wroga.

Marszałek lotnictwa Tedder obiecał, że 40 miast o zasadniczym znaczeniu dla wojennego przemysłu niemieckiego zostanie zniszczonych. W roku 1943 zniszczono dziewięć z dwudziestu jeden większych niemieckich miast przemysłowych, przy czym pewna liczba mniejszych miast, jak Kassel, poniosły również wielkie szkody. Hamburg, największy port niemiecki i drugie co do wielkości miasto przemysłowe Niemiec jest w tej wojnie najbardziej bombardowanym centrum przemysłowym świata. Koszt tych bombardowań wyniósł zaledwie 87 samolotów RAF'u.

Fakt, że „Luftwaffe” musiała przejść do defensywy ilustruje najplastyczniej fakt, że w roku 1943 lotnictwo Sprzymierzonych zrzuciło na Niemcy i okupowaną Europę 212.000 ton, gdy w tym samym okresie Niemcy zdołali zrzucić na Anglię zaledwie 2.400 ton.

Podczas gdy w Europie lotnictwo przygotowuje decydujące uderzenie inwazyjne, na Pacyfiku operacje lądowe, morskie i lotnicze stanowią jedność. W marcu ub. r. na morzu Bismarcka lotnictwo sprzymierzone stoczyło trzydniową bitwę z lotnictwem eskortującym wielki konwój japoński. Bitwa ta wykazała, że lotnictwo odpowiednio użyte może powstrzymać akcję sił morskich. Dalsze doświadczenia wykazały, że bombardowania z powietrza przy równoległym ostrzeliwaniu z morza mogą złamać opór przed lądowaniem wojsk na zdobywanym terytorium. Gdy przed kilku tygodniami piechota morska wylądowała na przylądku Gloucester w Nowej Brytanii, nie zastała nikogo i nic prócz straszliwego zniszczenia. Japończycy potrzebowali kilku dni, aby w głębi lądu zorganizować się na nowo.

Istnieje wielka różnica między teatrami wojny Europy i Pacyfiku. Samoloty Sprzymierzonych bombardują Berlin — do Tokio jednak jest wciąż jeszcze daleko. Lecz na obu tych teatrach przewaga lotnicza Sprzymierzonych posiada decydujący charakter. Gen. Montgomery powiedział niedawno: „Należy najpierw wygrać bitwę w powietrzu, zanim pragnie się wygrać bitwę morską i lądową”. Bitwa powietrzna na Pacyfiku jest stale wygrywana, a lotnictwo Sprzymierzonych góruje coraz potężniej nad siłami lotniczymi Japończyków.

U. N. R. R. A.

W tym miesiącu ukazała się brytyjska Biała Księga, która daje nam obraz jednych z najbardziej epokowych prac tej wojny. W listopadzie 1943 roku delegaci

44 narodów łącznie ze sztabem ekspertów, liczącym 200 osób, zebrali się w 21-piętrowym hotelu w Atlantic City, aby wypracować plan strategiczny przeciw głównym wrogom ludzkości, mianowicie przeciw głodowi i chorobom. Dyskutowano zagadnienie epidemii w Chinach, kwestię niedożywienia w okupowanej Polsce i szereg innych analogicznych zagadnień dotyczących krajów, które najbardziej ucierpiały na skutek wojny. Po dwudziestu dniach prac ustalono pierwsze punkty wielkiego planu.

Jeden z 15 komitetów, który opracowuje szczegółowe plany — ogłosił raport, rzucający światło na rozmiary i zasięg UNRRA. W pierwszych sześciu miesiącach po zawarciu pokoju trzeba będzie przewieźć statkami około 50 milionów ton żywności, odzieży itp. dla 9 krajów okupowanych przez „oś”. Owe 50 milionów ton stanowi minimum, które pozwoli wyniszczonej Europie przetrwać do pierwszych pokojowych zbiorów.

Głównym zadaniem UNRRA będzie umożliwić wyzwolonym krajom odbudowanie ich gospodarki. Oficjalny raport stwierdza, że w akcji pomocy nie będą czynione żadne różnice krajom różnych ras, religij czy politycznych urządzeń.

Walka z chorobami będzie prowadzona przez dostarczenie wyzwolonym krajom środków medycznych i urządzeń sanitarnych. Celem zapewnienia opieki



Lae — Nowa Gwinea — po bombardowaniu RAF'u i USAF



Przedstawiciel Polski na konferencji U. N. R. R. A. Min. Jan Kwapiński w towarzystwie płk. J. Llewellyn, członka brytyjskiego gabinetu wojennego

21 milionom uchodźców, wracającym do swych domów — UNRRA zaproponuje ujednoczenie metod kwarantanny sanitarnej.

Oczywiście plan finansowy odpowiada swą wysokością wielkościom zamierzeń UNRRA. Fachowcy wymieniają cyfrę dwóch i pół biliona dolarów. Postanowiono, że każdy współpracujący w dziele pomocy naród będzie uczestniczył w wydatkach odpowiednio do swych zdolności płatniczych. Niemniej postanowiono jednak, że kraje, które były okupowane w czasie tej wojny, płacić będą tylko na koszty administracji. Wielka Brytania

i Stany Zjednoczone pokryją 55 procent ogółu wydatków. Kraje takie, jak Polska, Belgia, Czechosłowacja itp. pokryć mają, każde, tylko jeden procent. Kraje jeszcze uboższe płacić będą proporcjonalnie mniej, aż do jednej dwudziestej procent.

Tak oto kraje, które nie zaznały losu okupacji, pragną przyjąć z realną pomocą tym narodom sprzymierzonym, które mężnie trwają w nierównej walce przeciw tyranii. UNRRA jest symbolem najszczerzej pojętego ducha humanitaryzmu i solidarności, który zawsze winien łączyć rodzinę Narodów Sprzymierzonych.

Część przedstawicieli 44 narodów obradujących w Atlantic City w ramach U.N.R.R.A. (Międzysojuszniczy Komitet Pomocy)





Setki półek zalegają butelki, w których powstaje sztucznie wytwarzana pleśń. Z zawartości tych oto wszystkich, widocznych na zdjęciu butelek, po przeprowadzeniu chemicznego procesu otrzymuje się zaledwie dwa i pół grama peniciliny



Dziwna historia peniciliny

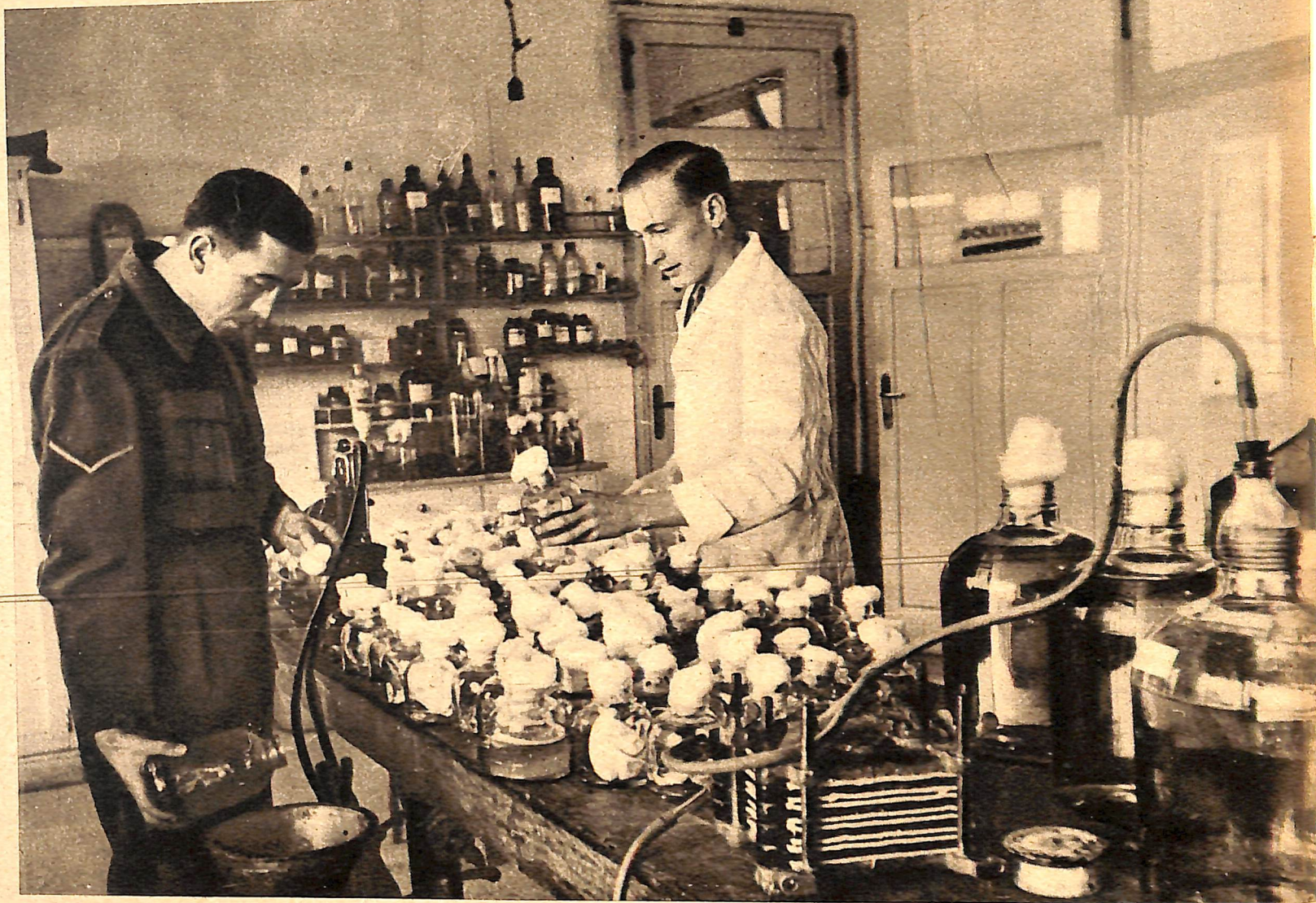
Środek, którym leczono
prem. CHURCHILLA

W związku z ciągłym rozwojem przemysłu wojennego powstają coraz to nowe fabryki, zakłady i doświadczalnie. Wiele z nich okrywa tajemnica wojskowa, o innych wolno wspominać jedynie częściowo, jedne są mało interesujące, inne zaś wręcz fantastyczne i niemal niprawdopodobne. Do takich właśnie najbardziej dziwnych zakładów, pracujących na potrzeby wojenne, należą laboratoria, w których odbywa się hodowla pleśni.

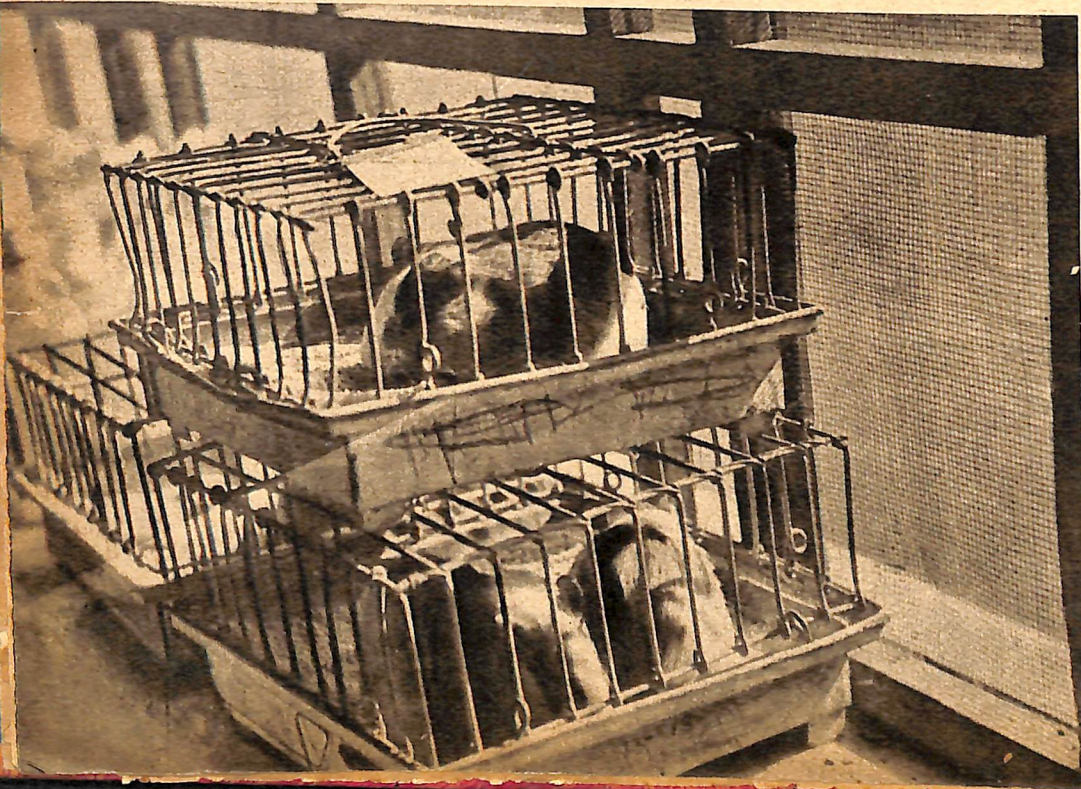
Wszyscy znamy pleśń, zieloną niebezpieczną trucizną, która osadza się na starym chlebie lub serze, pozostawionych przez dłuższy czas w wilgotnym miejscu. Pożywienie takie uważamy, słusznie, za niezdatne do jedzenia i wyrzucamy jako zepsute. Tymczasem — o dziwo — na terenie Anglii i Ameryki powstaje obecnie coraz więcej wytwórni chemicznych, wytwarzających i hodujących właśnie tę zieloną truciznę i to nie w celu stworzenia jakiejś śmiertelnej broni, lecz przeciwnie, dla dobra ludzkości. Z pleśni po jej spreparowaniu wytwarza się penicilinę (Pencillin), środek leczniczy, najbardziej skuteczny, jaki w ogóle zna medycyna. W przypadkach zakażenia krwi, o co szczególnie łatwo w czasie wojny, penicilina jest środkiem wręcz bezcennym.

Penicilina wywołała niemal rewolucyjny przewrót w nowoczesnej medycynie, jest bowiem stosowana nie tylko w przypadkach zakażenia krwi, lecz również leczy radykalnie ostre zapalenie płuc i zapalenie opon mózgowych oraz zakażne schorzenia kości. Tysiące ludzi obłożnie chorych, którzy przed wynalezieniem peniciliny byłiby skazani na śmierć, zawdzięczają swe życie i zdrowie właśnie temu wynalazkowi.

Historia odkrycia tego cudownego leku jest nie mniej fantastyczna, niż obecne jego działanie. Jak zwykle, tak i tutaj wielką rolę odegrał przypadek.



Świnki morskie, na których przeprowadza się doświadczenia stosowania peniciliny



W jednym z laboratoriów szpitalnych na Środkowym Wschodzie chemik przegląda butelki z pożywką, przeznaczoną do produkcji peniciliny

Pewnego wiosennego dnia 1929 roku, przez otwarte okno laboratorium szpitala Marii Panny w Paddington wleciał niesiony wiatrem, mały zarodnik pleśni. Nieproszonego gościa wpadł do naczynia, w którym bakteriolog szpitalny, profesor Fleming hodował zarazki, wywołujące powstanie karbunkulów, czyraków, zapaleń zakaźnych kości, a nawet gangreny. Osiadając na owiej kulturze, zarodnik pleśni zaczął tu rozwijać się i rozrastać, a zajmując coraz większą przestrzeń począł wytwarzać z siebie coś, co okazało się zabójcze dla trzymanych tutaj bakterij. Miejsce bowiem, w jakim powstała pleśń, stało się wolne od zarazków, które mogły utrzymać się tylko w pewnej od niej odległości. Wokół nowopowstałej kolonii narosłego zielonego mchu wytworzył się czysty, pozbawiony bakterij krąg, jak gdyby aureola.

Profesor Fleming zainteresował się tą nieoczekiwaną naroślą, jaka zniszczyła mu jego hodowlę. Gdy spostrzegł ów

czysty krąg, począł go intensywnie badać. Wkrótce też stwierdził, że w pleśni tej bądź w produkcie przez nią wytworzonym znajduje się coś, co nie dopuszcza do siebie zarazków gangreny, a te, które dosięgnie, niszczy i zabija. Profesor Fleming zdjął pleśń na płytowy drucik, sterylizował przez rozgrzanie do czerwoności nad palnikiem Bunzena i przeniósł na umieszczoną w próbówce pożywkę, taką samą, na jakiej rozwinął się zarodnik. Wynalazek swój, a raczej doświadczenie, będące prototypem wynalazku, uczony nazwał: Penicillin Notatum Westling.

Badania przeprowadzone w naczyniach zawierających podobne pożywki, wykazały, że wykryta substancja chroni rośliny przed pewnymi bakteriami.

Na tym kończy się pierwszy rozdział historii o tym, jak to mały zarodnik pleśni odwiedził zaciszną pracownię angielskiego profesora. Rozdział drugi wprowadza do akcji dwie nowe postacie in-

nich uczonych, którzy również poświęcili się tym badaniom. Upłynęło dziesięć lat. Aczkolwiek profesor Fleming stwierdził, że odkryta substancja zabija pewne bakterie, nie można jednak było jej stosować jako środka leczniczego, gdyż zawierała w sobie pewne składniki, niezwykle trudne do oddzielenia, a jadowite i tym samym szkodliwe dla ludzkiego organizmu. Dopiero w r. 1940 profesor Fleming i doktor Chain z Oxfordu postanowili dokonać prób odczyszczenia penicyliny. Przy pomocy sztabu bakteriologów, chemików i pracowników klinicznych, po roku ciężkich i pełnych poświęcenia studiów osiągnęli pełny sukces. Żółty proszek, który był wynikiem i plonem ich pracy przedstawiał sobą czystą już i odczynioną penicilinę.

Od tej chwili rozpoczynają się próby stosowania nowego środka. Wyniki przeszły wszelkie oczekiwania. Ciężko chorzy, których lekarze uważali już za straconych, po zastosowaniu penicyliny powracali szybko do zdrowia. Jednak produkcja nowego preparatu okazała się bardzo kosztowna. Profesor Florey i doktor Heatley, który głównie przyczynił się do wynalezienia sposobu wydobycia czystej penicyliny, udali się do Stanów Zjednoczonych, by amerykańskim uczynym przedstawić wynalazek i prosić o pomoc materialną dla rozwinięcia jego produkcji. Anglia bowiem będąc wówczas w niebezpiecznym dla siebie okresie wojny z Niemcami, nie mogła zbudować wielkich zakładów chemicznych, przeznaczonych wyłącznie dla produkcji penicyliny na szeroką skalę. Wytwórczość brytyjska tego środka była zbyt mała w stosunku do olbrzymich, w związku z wojną, potrzeb. Zapas wyprodukowanego preparatu szybko został wyczerpany i zdarzały się wypadki, że leczony peniciliną pacjent, który już powracał do zdrowia, nagle umierał, na skutek przerwania kuracji.

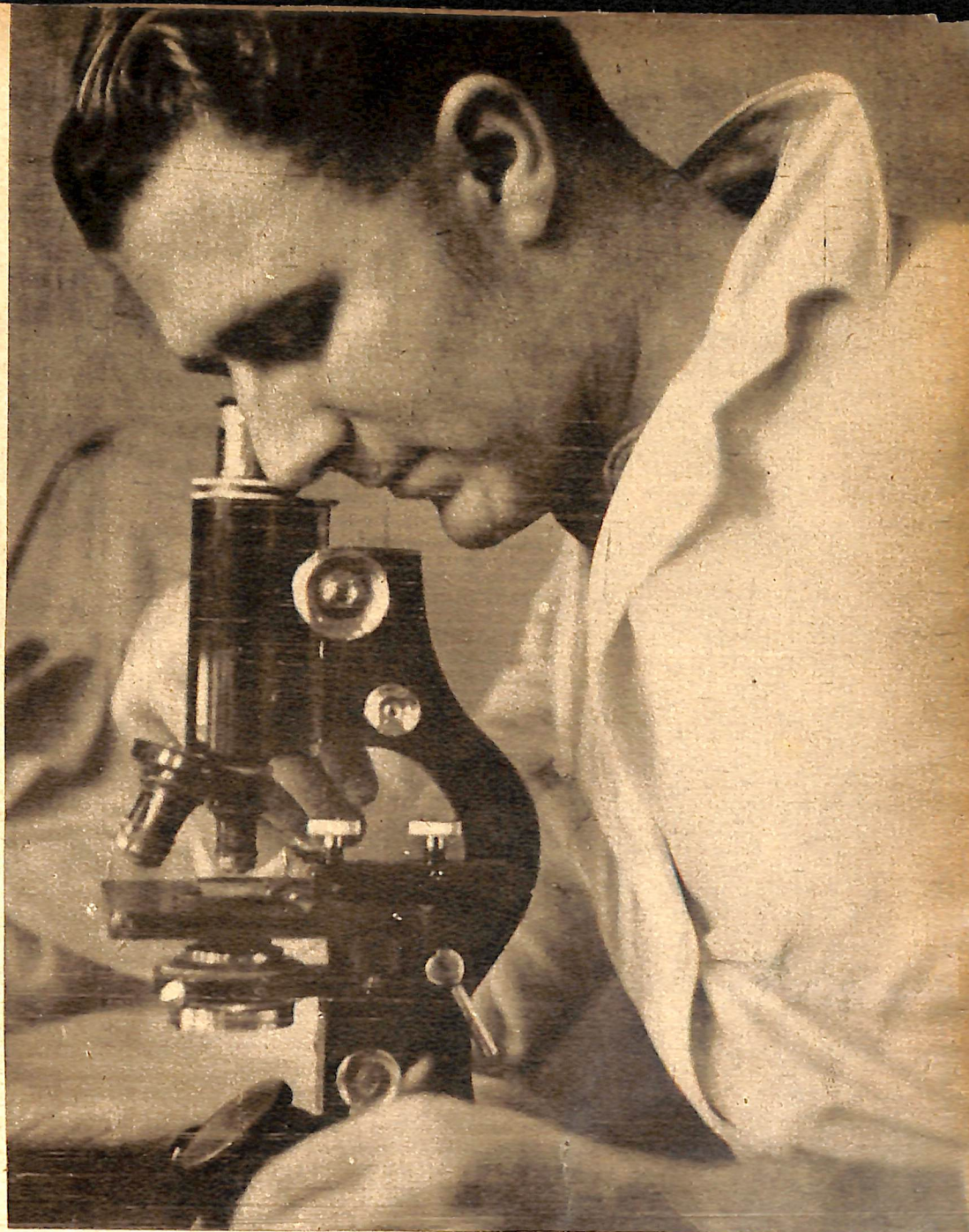
Dzięki pomocy kapitału amerykańskiego produkcja penicyliny w Wielkiej Brytanii została znacznie zwiększona. Zbudowano olbrzymie fabryki chemiczne i laboratoria wyłącznie na ten cel przeznaczone. Setki lekarzy i uczonych zatrudnionych zostało przy hodowli pleśni. Potrzebna dla produkcji penicyliny pleśń jest wytwarzana w specjalnych pękających butelkach, mogących pomieścić kulę holenderskiego sera. Pleśń powstaje na powierzchni znajdującej się w tych butelkach pożywki, która zawiera sól i cukier. Zakłady penicyliny są tak dziwne i skomplikowane, że gdyby ktoś nie o nich nie wiedząc, zrzucony na spadochronie, znalazł się nagle w laboratoriach, nie domyśliłby się z pewnością, gdzie się znajduje. Tysiące próbek i butelek długimi rzędami zalegają mnóstwo piętrowych półek. W każdej butelce, zamkniętej bawełnianym tamponem, burzy się i pieni przedziwna substancja o barwie syropu, a na jej powierzchni narasta się i rozwija nowe, tajemnicze życie. Zarodniki — galaretowata masa, powstała z pożywki, którą się karmi, mieszczą się w nieprzeliczonych próbkach, umieszczonych ukośnie w drewnianych stojakach. Wszystkie one są potomkami w prostej linii tego zarodnika, który przed laty przyfrunął do pra-



Sztucznie wytwarzana w butelkach pleśń, z której wyrabia się penicilinę

cowni profesora Fleminga w szpitalu Marii Panny. Hodowlę zarodników odbywa się z owych próbek, roztapia się w odpowiednim roztworze, po czym pod ciśnieniem powietrza wlewa się do butelek z pożywką. Już w ciągu następnej godziny ukazują się pierwsze oznaki pleśni, poczynając się wytwarzać na powierzchni przygotowanej pożywki. W ciągu następnych dziesięciu dni mętna i gęsta pleśń pokrywa znajdującą się w butelce galaretowatą masę.

Salę, w których odbywa się owa fermentacja utrzymywane są w stałej temperaturze, a dopływ powietrza regulowany jest przez wielkie, powoli poruszające się wentylatory. Pomimo to panująca tu woń, przypomina silny zapach grzybów. Następnie otrzymaną płynną mieszaninę odcedza się. Uzyskana ciecz ma barwę ciemnego piwa. Droga dalszego chemicznego procesu otrzymuje się z niej ostatecznie żółty proszek, który jest już czystą peniciliną, cudownie uzdrawiającą chorych i rannych.

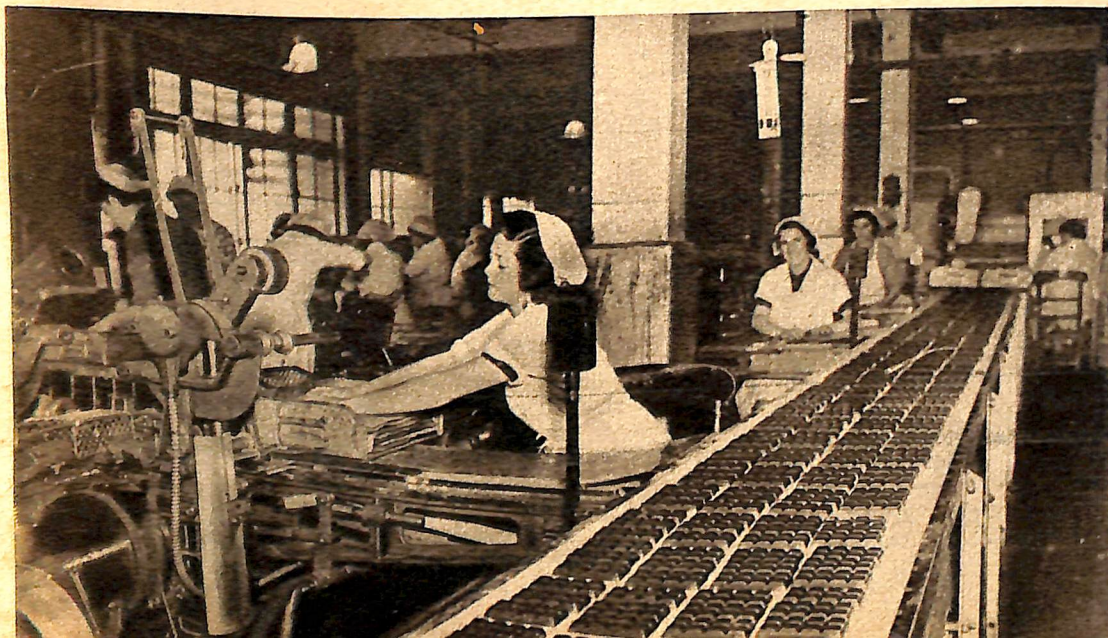


Mikroskopowe badania pleśni, z której wyrabia się penicilinę



CZEKOLADA POKOJU...

W Anglii przygotowuje się dziś czekoladę pokoju, to jest czekoladę przeznaczoną dla krajów jeszcze znajdujących się pod okupacją wroga. Będzie ona natychmiast dostarczona, gdy tylko kraje te uwolnione zostaną od Niemców. Jest to specjalna czekolada, bogata w witaminę, która wygłodzonym ludziom w Europie pomoże wrócić do sił. Specjaliści liczą się już dziś z faktem, że od pierwszej chwili wyzwolenia kontynentu pojawi się palący problem żywnościowy. Chodzi zatem o to, aby w pierwszym okresie, gdy będzie jeszcze ciągle zbyt mało statków dla przewiezienia dziesiątków milionów ton towarów niezbędnych dla Europy, — dostarczyć artykułu żywnościowego o maksymalnej sile odżywczej, a minimalnej wadze. Takim idealnym artykułem jest czekolada. Jedna uncja owej czekolady przygotowanej dla Europy (1 oz równa się 28,3 grama) zawiera potrzebny, na cały dzień, dla dorosłego człowieka zapas witamin A, B i D. Doświadczenia poczynione na Malcie z tą czekoladą dały doskonałe rezultaty. Na zdjęciach obok widzimy wnętrze fabryki Cadbury, gdzie przygotowuje się witaminową czekoladę.



wic — po polsku

der Janta

z niego czyniło lepszego dyplomata, niż z Wandy. Przeszkadzała mu tylko jedna śmiałość, jaką łatwo było pomylić z pewnego rodzaju kompleksem niższości. Ten jedno lekarstwo na tę słabość — to rozmowy o wojnie i o tym, że się Niemcy pod koniec i tak rozłożą. W początkowym okresie, kiedy wszystko zdawało się przeczyć temu rodzajowi ufności, zastanawiał mnie nieraz w ich rozmowach, których byłem biernym, ale ciągle obecnym słuchaczem, pierwiastek niewyrozumianej wiary, jaki prowadził do jednej tylko i zawsze tej samej konkluzji. Niemcy dostaną w d... Oni sami wychodzili z nich odświeżeni, pocieszeni mirażem dalekiej, kłęski Niemców i nieświadomie dodawali otuchy temu „Francuzowi”, który po niemiecku umiał, gazy czytał, o polityce rozprawił i udawał trzeźwego realistę przed samym sobą, a przecież szukał oparcia właśnie w tych niby niemądrych i pozbawionych zdrowego sensu, a przecież pilnie podsłuchiowanych rozmowach.

Zdawało się czasem, po robocie, albo w niedzielę od chłopów w Unterbergu przychodzili do Wandy i Staśka inni Polacy, pracujący w tej samej wsi. Skończyli być może wcześniej robotę i zaszli, niby przypadkiem, zapytać o coś, zasięgnąć języka. Oboje moi Polacy radzi byli niezmiernie tym odwiedzinom. Trudno im się było nagadać z nimi, tym bardziej, że każdej chwili mogli się spodziewać Schnablowej, albo starego, który im gości przepędzał.

Bywało też, że do Staśki przychodził na pogawędkę kolega, pochodził z pod Warszawy, a zawodu był kupcem. Pracował u chłopów, mówił niezgorzej po niemiecku i szukał czasem okazji rozmowy ze mną. Przyjaciele Francuzi chwalili go bardzo, że pomocny i że nawet przyrzekł, gdyby zaszła potrzeba, dostarczyć cywilne ubranie do lagru. Przez niego kupowali z początku papierosy. Władek zamienił ze mną raz i drugi kilka szybkich zdań po niemiecku, próbując dowiedzieć się na własną rękę, jaki jest duch Francuzów i jakie są prawdziwe przyczyny klęski Francji, po której oni wszyscy tyle się dobrego spodziewali, licząc, że Hitler zęby sobie połamie na jej oporze. Czulem, jak straszny sprawiła zawód tym ludziom, czekającym każdego znaku nacięcia się Niemców na przeciwnika silniejszego od nich.

— Czy pan myśli, że Anglia wytrzyma? — pytał mnie z niepokojem w oczach. Był to okres pierwszych, wielkich nalotów na Londyn, które Niemcy przyjęli jako zapowiedź zbliżającej się inwazji i zwycięskiego końca wojny.

— Będzie się trzymać — odpowiadałem mocno. — To się wszystko skończy jeszcze inaczej, niż Niemcy myślą.

Sciskał mi dłoń, zostawiał jakieś papierosy, zdając sobie widocznie sprawę, że w tym pierwszym okresie naszej obecności w Niemczech jesteśmy bardziej jeszcze zgubieni i nieszczęśliwi, niż oni, którzy jeśli nie zdążyli przywyknąć, lepiej się już zagospodarowali i więcej znają sposobów urządzania się jako takiego.

Podsłuchałem potem kiedyś rozmowę Władka ze Staśkiem o mnie. — On nie taki głupi, jak wygląda — twierdził Władek. Dobrze jest chłopisko, tylko trochę ciężkie. Kto wie, jakie tam ma kłopoty i jakie sprawy. Ty Staśku na niego nie jedź, tylko mu pomóż czasem, jak widzisz, że dalej nie może. My tu z Francuzami musimy trzymać, bo nas wszystkich razem Niemcy zjedzą.

Nie trudno było się spostrzec, że Staśka miał się ku Wandzie. Wanda traktowała go trochę z góry, jako szczeniaka i nigdy właściwie nie brała poważnie jego zaleceń. Co nie przeszkadzało faktowi, że się Staśka dobierał do niej. Krepowali się z początku moją obecnością, ale po jakimś czasie, stwierdziwszy w dodatku, że jestem człowiekiem żonatym, więc pewno dlatego życzliwym dla takich spraw, obecność moja coraz mniej przeszkadzała w okazjach zbliżeń, przypominających zresztą raczej mocowanie się dwóch przeciwników, niż miłość.

Była to bowiem typowa wiejska zabawa z mnóstwem krzyków, śmiechów, poklepywań raczej niż pieszczot oraz niewyszukanych metod przewracania dziewczyny, broniącej się zawsze, jakby to naprawdę chodziło już nie o cnotę, ale po prostu o życie. Miejszem najbardziej odpowiednim dla tego rodzaju popisów była szopa nad oborą, wypełniona sianem. Dwa razy na tydzień latem, a zimą częściej, trzeba tam było włączyć, rozkopywać widłami zwały zbitego siana, zwałę je na kupę przy maszynie do cięcia siewki i podawać na nią wiązkę przy wiązce. Wbrew pozorom była to robota ciężka zwłaszcza zaś wydzieranie siana z tych gęstych, ubitych na twardo łozy. Sztuka polegała poza tym na mieszanju dwóch rodzajów siana: z pokosu czerwcowego i wrześniowego, po wiązce na dwie. Te zabiegi wyzwały w ciasnej przestrzeni poddasza tumany przeraźliwego kurzu. Rozpylało te kłęby jak wiatrak szybkimi obrotami koło siewkarni, dął nim przenikliwy prąd przeciągów na poddaszu, mieliśmy pełne kurzu oczy, usta i nos, całe spoczone ciało stawało się odrazu lępkie od brudu. Od tych czasów zmienawidziłem siano.

Tyle tylko urozmaicenia przynosiły te godziny, ile było w Staśku i Wandzie ochoty do zabaw na tymże sianie. Maszyna zagłuszała pokrzykiwania Wandy i jej nie zawsze szczere wybuchy oburzenia — sam skłonny byłem raczej do zachęcania ich, aby korzystali z okazji, cicho sobie pomyślawszy, że się może w rezultacie pobiorą.

Było jasne, że chociaż Staśka udawał przede mną zwycięzcę, te ofensywy na sianie, mimo pozorów nie dawały oczekiwanych przez niego rezultatów. Wanda nie była głupia, żeby sobie jeszcze do obecnych kłopotów nowy przysporzyć. To nie to co Magda w Oberbergu. Jak się tylko spostrzegli, że będzie miała bachora zaraz z powrotem do domu. Nie tu w Niemczech Polakom na takie rzeczy pozwalać. I nikt nie wie, czy jej nie odbiorą dziecka, jak się urodzi. Tym się martwiła najwięcej za Magdę. Żeby jej chociaż zostawili dzieciaka. Ale gdzie tam. Do roboty zagnają, to i jak dziecko przy sobie chować? Zagadnienie powrotu wiązało się dla nich wszystkich z owym nagłym i przymusowym wyjazdem Magdy. Kiedy nas puszcza na urlop? Mówili, że po roku roboty pojedziemy na dwa tygodnie. Może przez Boże Narodzenie?

— Ale się mało komu na to zanosilo. Nie puszczają i już. Mówią: i po co wam jechać, kiedy w Polsce nędzą? Tu u nas w Niemczech lepiej.

Nie lepiej, mimo wszystko. Cóż, że jedzenia więcej, że spokój i że wojna tędy nie przeszła? To nie to, co dom. Choćby bieda cisnęła, choćby było ciężko, najciężej, każdy z powrotem ciągnie. Już tego im nie wyperswadują Niemcy, ani z nich nie wydrą do końca pędu i tęsknoty za swoim.

Miałem któregoś dnia zawołać Staśka do Schnabla. Zawołałem po prostu: Staśku! Tyle tylko i parę słów niemieckich, niegramatycznych, jak zawsze. „Staśku kommen Chef”. Starego nazywało się bowiem obyczajem tutejszym: szef. Nie myślałem o tym więcej, aż tu słyszę nazajutrz przy koszeniu, jak sobie Wanda rozmawia ze Staśkiem o wszystkim, co jej do głowy przyjdzie, że do Maryśki w Kirchendorf próbował dobrnąć się syn gospodarza, ale Maryśka narobiła krzyku i chłopaka odegnęła, a teraz cała wieś z niego się śmieje, że mu się z Polką nie udało. I nagle, jak to w jej zwyczaju, zmienia temat. Jak cię wczoraj wołał ten Francuz, to tak dobrze wypowiedział „Staśku”, że aż mnie zdziwiło. On żeby chciał, toby się szybko po polsku nauczył.

— Za leniwy — bąknął Staśka. — Ale nauczyć go można...

Zrobiło mi się gorąco. Zaczną mnie uczyć po polsku? Nie, to chyba szczyt groteski i niebezpieczeństwa.

Od tego dnia zacząłem powoli zmieniać sposób mówienia do nich. Już nie mówiłem Staśku, ale stopniowo przemieniłem brzmienie słowa Staśka na coś w rodzaju Sztaszka i już tego używałem aż do końca.

Staśka tymczasem, ku wielkiej ucieście Wandy, zaczął mnie uczyć po polsku. Przyswoili mi parę dosadnych i doborowych polskich wyrażań, które przekreśliłem nielitościwie, aby ich raz na zawsze zniechęcić do tych prób, również dla mnie trudnych jak krepujący. Przeszli potem na słowa z innego repertuaru i zmianian za francuskie „Bonjour” i „Bonne nuit” wpajali mi swoje „Dzień dobry” i „Dobranoc”. Powtarzałem niezgrabnie „dzemdoobri” i „doowiżenija”. Myślałem, że dadzą spokój. Ale gdzie tam. Podoobała im się ta zabawa, jedna z rzadkich rozrywek monotonnego życia pracy. Było o czym opowiadać potem Felce, Magdzie, Maryśce. Jakie głupie te Francuzi, albo jakie niezgrabne. To nie to, co nasze ludzkie.

Zapominali znowu o mojej obecności, zagadywali się o swoich sprawach. Wanda tłumaczyła Staśkowi, że się nie puszcza, że chyba z takim chłopakiem, co się będzie żenić. Żeby matka wiedziała, że ona się puszcza toby ją chyba zabiła. Nie taka ona naiwna, żeby się dała wykorzystać byle komu. Chodził tam do niej jeszcze w Polsce jeden, co mu było Wojtek, ale matka go przegnała z domu, taka była niezyczliwa dla młodych.

Staśka, jak zwykle, odmrukiwał coś półsłówkami, chociaż słuchał uważnie.

Wanda przeskakując ni stąd ni zowąd na jego temat zaczynała go teraz przedrzeźniać i naciągać, że się źle do dziewczuch zabiera, że nic nigdy nie wskóra. Nic bardziej nie oburzało Staśka, jak te rozmowy, których się stawał ofiarą. Wymawiali tak sobie niejedno głupstwo, niejedne nieudane zaloty, niejedną żart dziecienny i każde potknięcie, każdą słabość i śmieszność, już nie nawet osobistą, ale leżącą po prostu w odrębności płci. Było o czym wyrzucali sobie, nazywając rzeczy po imieniu. Przeniosła się ta rozmowa aż do stołu, gdzie się znaleźliśmy na pospieszonym podwieczorku między dwoma okresami roboty. Muszę przyznać, że się bawiłem świetnie.

Był to być może jakiś nieostrożny błysk moich oczu, czy wyraz twarzy nie dość obojętny, który zatrzymał nagle Wandę w zarzutach natury bardzo osobistej, kierowanych pod adresem Staśki i całego męskiego rodu.

— Ty, Staśku, ja tak czasem sobie myślę, czy ten Francuz trochę jednak nie rozumie po polsku?

Ale Staśka miał tylko jedną odpowiedź na to babskie przewrażliwienie.

— Głupiaś — powiedział.

Wanda pokraśniała na twarzy.

— Bo wiesz Staśku, jakby on czasem co rozumiał, to ja nie wiem co bym zrobiła, to ja bym się chyba pod ziemię musiała schować.

Rozdział pt.: „Uczę mnie mówić po polsku” wycięty jest z nie drukowanej dotąd książki „Wspomnień jenieckich znanego przed wojną korespondenta i pisarza, który udając żołnierza francuskiego przebył w niewoli niemieckiej przeszło dwa lata, a uciekłszy, przebywa dzisiaj w Anglii. Skrót tego rozdziału rzuci ciekawe światło na warunki życia deportowanej do przymusowych robót w Niemczech ludności polskiej.

ODNIEJ PUSTYNI

ku Beda Littoria. Trzeba było komandosom dostarczyć arabskich, pewnych przewodników, którzy poprowadziliby ich nazajutrz do kwatery generała Rommla.

Od owego słynnego wypadu komandosów na kwatere dowódcy Afriki Korps upłynęło wiele czasu. John Haselden wniknął wówczas na kilkaset mil w głąb nieprzyjacielskiego terytorium. Nawązał przyjazne stosunki z licznymi szczepami arabskimi. Żaden Arab — a znał ich tylu — nie przypuszczał i nie domyślał się do dziś dnia, że Haselden był Anglikiem, białym, „niewiernym”.

Po zorganizowaniu wypadu na Beda Littoria, kiedy to płk. Keyes zyskał Victorię Cross, a stracił życie — Haselden przemierzył znów setki mil przez pustynię w drodze powrotnej ku swoim. Za ów czyn otrzymał okucie do swego Military Cross.

„Hasel” — jak zwykli zwać go krótko jego przyjaciele — urodził się w Egipcie. Mówił od dziecka po arabsku. Jako chłopiec wyjechał do Anglii, gdzie ukończył studia uniwersyteckie. Nie pozostał jednak na wyspie. Ciągnął go Wschód i przygoda. Po powrocie do Egiptu poświęcił wiele lat pracy studiom nad językiem arabskim i jego dialektem. Mówił po arabsku nie tylko jak rodowity Arab, ale mówił po arabsku w Kairze, jak i w Algierze — na Pustyni Zachodniej, jak i w Arabii Południowej. Głęboką, realną i istotną znajomość Bliskiego Wschodu zdobył nie z okna autokaru, czy limuzyny, lecz z grzbietu wielbłąda.

John Haselden uchodził za wybitnego znawcę i eksperta arabologii. Jednak nie biurko i gabinet uczonego były jego powołaniem. „Hasel” kochał przygodę, wyprawę. Gdy wojna wybuchła, został przydzielony do wojskowego wywiadu (Intelligence Corps). Niezmiernie szybko wybił się swą wiedzą, odwagą i geniuszem osobistego kamuflażu. Nikt nie potrafił, tak jak on, być Arabem, nikt nie znał, tak jak on, zwyczajów Wschodu, języka, pustyni i wielbłąda. — Po sposobie siedzenia na wielbłądzie łatwiej jest odróżnić Araba od obcego, niż po akcentcie, czy błędach wymowy — zwykł mawiać Hasel.

Wśród komandosów krążyły legendy o tym drugim Lawransie pustyni. Szybko spotkało go niezwykle wyróżnienie. Władze wojskowe zdjęły pieczęć tajemnicy z jego nazwiska. W oficjalnym wydawnictwie Brytyjskiego Ministerstwa Informacji pt.: „Combined Operations 1940—1942” znajdujemy nazwisko Haseldena, jego przydział i garść najefektowniej-szych szczegółów jego wojowania w „pojedynkę”. „Hasel” kochał bowiem „sam na sam z przygodą”, jego namiętnością były „one-man sorties” — dalekie, samotne wypadki. Tygodniami operował głęboko na tyłach nieprzyjaciela, sprzedawał Niemcom pomarańcze, rozmawiał

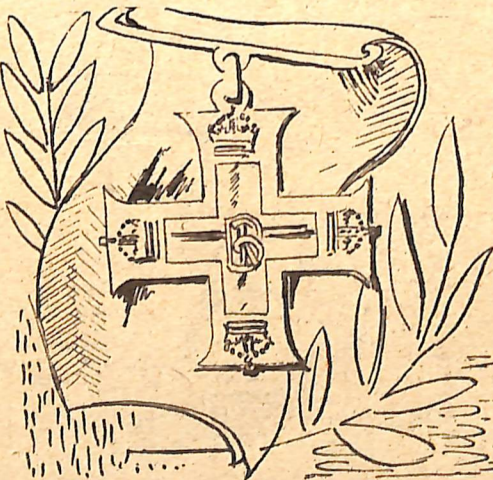
z Niemcami, ale wiedziało naprawdę kim on jest jedynie grono w tajemniczość. Żołnierze VIII Armii opowiadali wieczorami o „tajemniczym Arabie”, który patrolował samotnie na tyłach wroga. Szejkowo wie plomion koczowniczych do dziś dnia wspominają jego chudego, szybkiego wielbłąda, którego Haselden umiał poderwać do biegu jednym okrzykiem.

I nagle ów romans z przygodą przerywa się brutalnie. Przed kilku dniami przeczytałem w prasie angielskiej dwuwierszową notatkę:

„Killed: Lt.-Colonel John Haselden, Intelligence Corps”.

Nie wiadomo gdzie padł — w jakich okolicznościach. Tajemnica, która pokrywała jego życie, przysłoniła i jego śmierć. Może zginął we Włoszech, może w wypadzie Commandos — a może w czasie jednej ze swych samotnych, niebezpiecznych wypraw, gdy on, pułkownik dowodził tylko samym sobą.

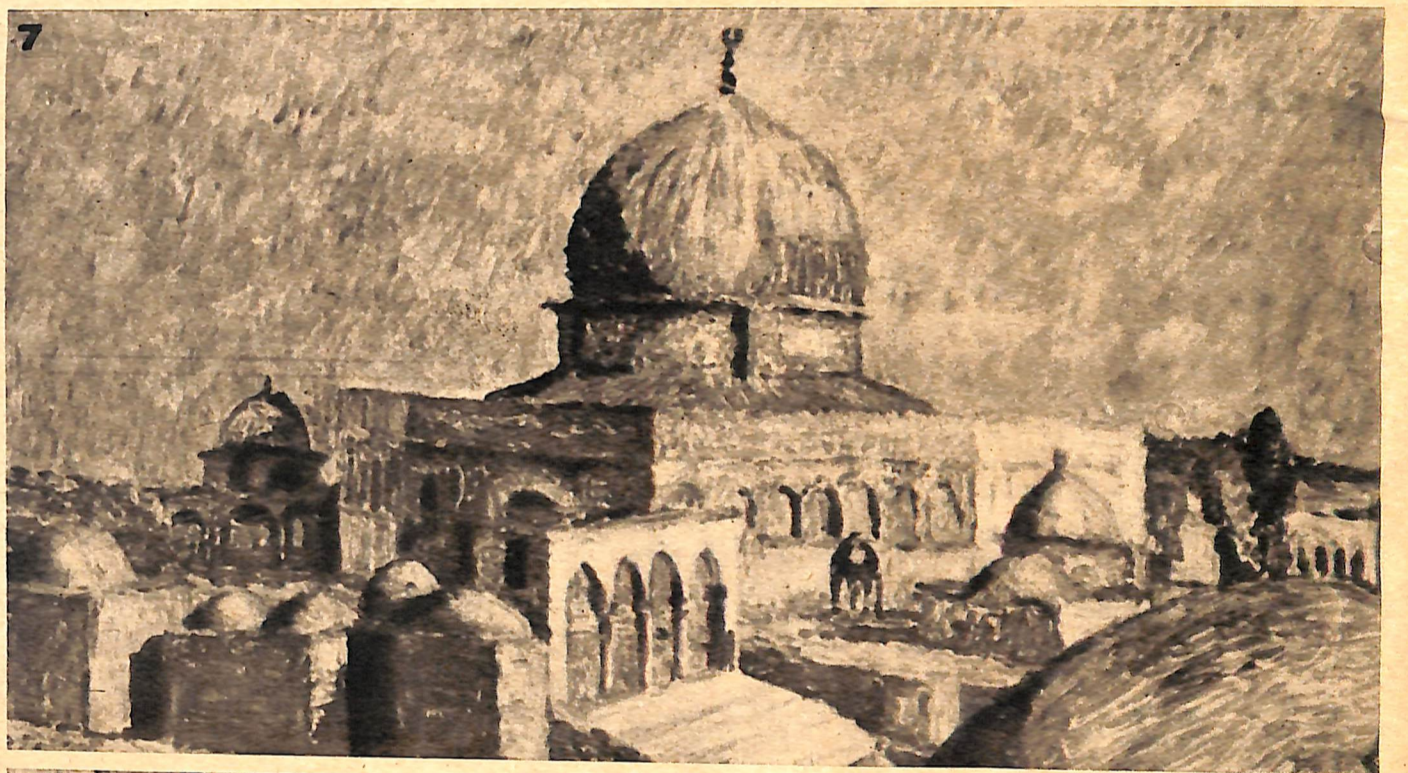
Nam wspomnieniami, związanymi z Pustynią Zachodnią i jej romantyką bliższym jest niż komu innemu „tajemniczy Arab” John Haselden. Gdy myślę o bezkresnych przestrzeniach pustyni na południowy zachód od El Alamein, rozumiem kim być musiał „Hasel”, by tak żyć, jak on żył. To już nie odwaga, nie zuchwałość, ale pewność własnej, silnej młodości, dla której nigdy dość przestrzeni, nigdy dość niespodzianki.



z Włochami — nigdy nie rozpoznany, ani przez wrogów, ani przez swoich. Szczytł się tym, że widywało go w czasie jego wypraw setki, a może tysiące osób — Anglików, Arabów, Włochów

Wystawa malarska artystów-żołnierzy Zjednoczonych Narodów

1. Rysunek — Wolf-Bogucka; 2. Akwarela — Westwalewicz; 3. Olej — Węclawowicz; 4. Olej — Turkiewicz; 5. Rysunek — Siedlanowski; 6. Olej — Matuszczak; 7. Olej — Jarema; 8. Rysunek — Kościatkowski; 9. Akwarela — Wąs.



Staraniem i z inicjatywy Soc. des Amis de l'art i British Council, oraz przy współpracy G.H.O. — Środkowy Wschód — i Armij Sprzymierzonych, otwarto w Kairze wystawę malarską artystów-żołnierzy Zjednoczonych Narodów. Protektorat honorowy nad wystawą objął J.K.M. Król Faruk I. Pokaz obejmuje 376 prac żołnierzy brytyjskich, francuskich, amerykańskich, greckich, polskich i jugosłowiańskich. Twórczość polska reprezentowana jest 50 płótnami — malarzy: S. Westwalewicza, M. Kościatkowskiego, J. Jaremy, T. Wąsa, M. Wisznickiego, B. Skoczylasa, Zakrzewskiego, R. Burdytły, Wolf-Boguckiej, H. Siedlanowskiego, Z. Turkiewicza, L. Wiecheckiego, E. Matuszczaka, H. Węclawowicza i Honigmana.

Str. 2: fot. „Parade”
Str. 6 i 7: fot. „Parade” i U. S. Office of War Information
Str. 8 i 9: fot. British Ministry of Information
Str. 10 i 11: „Baron Foto Parade”
Str. 14: fot. „Parada”
Str. 15 i 16: fot. Charles Zaimes, American Red Cross

Układ graficzny:
JERZY MŁODNICKI



Polacy w Iranie

Dwie Polski żyją w cywilnym obozie polskim w Teheranie, stara i najmłodsza, dwie Polski miłością największą, macierzyńską, złączone. Pomarszczona, pochylona starszuszka, która przeżyła tyle, chce wytrwać do końca i wrócić do Kraju; uśmiech-

Dr Henry Wiens z Amerykańskiego Czerwonego Krzyża przemawiał na zebraniu Polaków w Teheranie

nięte dziecko polskie, na obcej gościnnej ziemi perskiej, przywrócone dziś życiu, dziecko, które jest naszą wielką nadzieją.

Nie łatwe jest ich życie w obozie namiotów. Starsza młodzież w wojsku, dziewczęta i chłopcy. Pozostali głównie starzy lub niezdolni do służby wojskowej i dzieci. Większość pochodzi z wschodnich ziem Polski. Pożywienie przygotowują kobiety w kuchniach wspólnych, skąd rozdziela się porcje przedstawicielom rodzin lub namiotów. W obozie prowadzi się hodowlę trzody, karmionej resztkami jedzenia. Do prac na roli używa się mułów.

Szczególną troską wszystkich jest młodzież, są dzieci. W cieniu drzew odbywają się lekcje, prowadzone przez wykwalifikowane nauczycielki. W specjalnych dziecińcach pod opieką matki czy babki najmniejsza działwa bawi się i uczy. Ten mały świątek jest największą radością, jest uśmiechem środowiska polskiego w Persji.

Uchodźcami polskimi opiekuje się Polski Czerwony Krzyż, a z obcych instytucji szczególnie serdecznie Amerykański Czerwony Krzyż.





W GOŚCINNYM IRANIE